

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 19 MAJA 1928 ROKU

NR 21

TREŚĆ NUMERU: Rycerze jutra — *Natalja Jastrzębska*. Reforma programów szkolnych zagranicą — *Bogdan Suchodolski*. Zanim kłamka zapadnie — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Rzodkiewki”. „Kartofle”. „Groch” — *Lucyna Krzemieniecka - Wolicowa*. Kryształowa kula — *Max Wit*. Wrażenia z Bukaresztu — *Z. Rabska*. Z życia muzycznego — *W. Borudzka*. Z teatrów — *S. P. O.* Z odczytów — *N. J.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i W. B.* Obrazy z historii mody — *Stefanja Zahorska*. O polskość naszych wnętrz — *Marja Morozowicz-Szczepkowska*. Poradnia dla dziewcząt — *Piotr Macewicz*. Kathleen — *Han. Skar.* Tydzień w Poznaniu — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Degradacje — *Well*. Dodatek powieściowy: „Bursztynowa księżniczka” — *George F. Worts* — tłum. z angielskiego — *W. M.* Arkusz wzorów.

RYCERZE JUTRA

Polska młodzież z pod sztandaru Czerwonego Krzyża.

Nieśmiertelne przykazanie Chrystusowe—miłości bliźniego—stało się początkiem wszystkich czynów altruistycznych, jakże często bohaterkich! W imię tej miłości bliźniego powstała też instytucja Czerwonego Krzyża, wyrastająca na tle pożogi i okrucieństw wojny błogosławionym kwiatem poświęcenia i miłosierdzia.

Idea działalności Czerwonego Krzyża, która rozszerzyła się we wszystkich państwach i objęła szerokie koła społeczne, nie mogła też nie wywrzeć wpływu na wrażliwe dusze młodzieńcze. Ci, którzy nie mogli jeszcze nieść pomocy bliźnim na polu walki, chcieli jednak, wedle sił swych, pomagać dorosłym.

I oto początkowo w Kanadzie, a wkrótce w Stanach Zjednoczonych, powstała organizacja Czerwonego Krzyża młodzieży — „Junior Red Cross”, której członkowie zaczęli szyc bieliznę i różne drobiazgi dla żołnierzy, odwiedzać rannych w szpitalach i opiekować się rodzinami poległych.

Praca szła tak intensywnie, że, jak się okazało, brało w niej udział 10 milionów dzieci amerykańskich, które wyprodukowały 15 milionów różnych przedmiotów, wartości 10 milj. dolarów.

Ten imponujący rezultat akcji młodzieży wykazał pedagogom wielką doniosłość tej działalności; to też po zlikwidowaniu instytucji wojennych, postanowiono zachować w całej pełni organizację, nadając jej jedynie inny kierunek praktyczny, zastosowany do warunków pokoju.

Zachowanie czystości i higieny, nauczanie jej i dopomożenie do jej utrzymania uboższym i mniej

oświeconym, nawiązanie stosunków przyjaźni między młodzieżą wogóle, ulżenie doli dzieci krajów zniszczonej przez wojnę — stały się głównym zadaniem amerykańskiej młodzieży czerwonokrzyśkiej.

Rozpoczęto w r. 1920 energiczną propagandę, przesyłając dary dla dzieci inwalidów i sierot.

Akcja amerykańskiego „Junior Red Cross'u” znalazła najszerzy oddźwięk w krajach, które świeżo odzyskały niepodległość: w Czechosłowacji, Jugosławii, na Węgrzech i t. p.

W Polsce założenie Czerwonego Krzyża Młodzieży datuje od r. 1921 oficjalnie tylko. Któż, bowiem, nie pamięta, że w czasie ofensywy bolszewickiej setki tych, których w żaden już sposób nie można było przyjąć do szeregów — czternastolatki i dziewczęta — pracowały w czołówkach sanitarnych! Gdy więc delegatki amerykańskie przybyły do Polski, zastały już gotowy i podatny materiał.

I od tego czasu, przez ośm lat, organizacja polska młodzieży czerwonokrzyśkiej ani na chwilę nie ustaje w swej pożytecznej pracy. Samopomoc szkolna i pomoc społeczna, pomoc w domu (jedno z naczelnych wskazań dla każdego członka), higiena w domu i w szkole, wyrabianie samodzielności i propagowanie jej, miłość bliźnich, pomoc dla chorych i ubogich, miłość przyrody i zwierząt, odrodzenie ludzkości przez zdrowie moralne i fizyczne—oto ideały młodzieży czerwonokrzyśkiej—ideały, które muszą być i są czynnie uskuteczniane.

Organizacja młodzieży Czerwonego Krzyża jest bardzo prosta: najwyższą instancją jest Polski Czer-

wony Krzyż „dorosły”. Przy jego zarządzie istnieje Komisja Główna Kół młodzieży, w której skład wchodzi członkowie zarządu głównego, przedstawiciele ministerstwa Wyzn. i Ośw. Publ. oraz instytucji wychowawczych i społecznych. Komisja ta czuwa nad rozwojem Kół, organizuje na całym obszarze kraju komisje oddziałowe, pod których zarządem bezpośrednio znajdują się Koła prowincjonalne, i utrzymuje stałą łączność z Ligą Czerwonych Krzyży Młodzieży w Paryżu. Koła powstają pod opieką nauczycielstwa przy szkołach powszechnych, gimnazjach, seminarjach nauczycielskich, bursach i szkołach zawodowych; przyjmują też, zwłaszcza na prowincji, i młodzież pozaszkolną. Każdy dział pracy stanowi osobną sekcję Koła, przyczem praca jest zawsze zastosowana do środowiska i miejscowych warunków.

Liczba Kół wynosi w całej Polsce około 200, w Warszawie istnieje ich 47.

Warszawska komisja oddziałowa Kół stolicy składa się przeważnie z członków-założycieli i stałych współtwórców całej organizacji. Na czele ich stoi zasłużona działaczka, niezmordowana pracownica, przewodnicząca Anna Roszkowska, odznaczona za swą pracę krzyżem „Polonia Restituta”, Krzyżem Walecznych i orderem zasługi Czerwonego Krzyża. Wiceprzewodniczącymi są: p. Marja Łada i p. Władysław Olewski, sekretarką—p. Barbara Nawrotówna, instruktorem Kół—p. Tadeusz Mickiewicz, kierownikiem działu wydawniczego i redaktorem miesięcznika „Czyn Młodzieży”—p. Felicjan Kurok. Cały ten zarząd „dorosły” położył wielkie zasługi organizacyjne i stale, niezmordowanie pracuje łącznie z młodzieżą, kierując jej akcją i dopomagając we wszystkich zamierzeniach.

Na pierwszym planie tej działalności leży samopomoc koleżeńska i pomoc społeczna, na zasadach samowystarczalności oparta. A więc: dopomaganie mniej zdolnym i uboższym kolegom w szkole korepetycjami, ubranie, bielizną, wykonywanymi przez dział rękodzielniczy danego Koła; dalej—pomoc społeczna poza szkołą. Każde Koło opiekuje się ochronką, bursą, ubogimi repatrjantami, bezdomnymi, sierotami po poległych. Młodzież czerwonokrzyska organizuje stale gwiazdkę i święcone dla najuboższych dzieci bezdomnych, opiekuje się inwalidami i dziećmi w szpitalach, zawsze zdobywając sama fundusze na ten cel. Bierze również udział w pracy Czerwonego Krzyża wrzecie nagłej potrzeby, jak w czasie wybuchu w cytadeli, wypadków majowych, powodzi w Małopolsce, wielkiego pożaru w Rykach i t. p.

Następnem zadaniem jest rozwijanie i pielęgnowanie zasad higieny i czystości. W tym celu każde Koło organizuje „konkursy zdrowia”. Szereg czynności codziennej higieny i porządku, za których wypełnienie dzieci otrzymują znaczki i drobne nagrody, jak mydła, szczoteczki do zębów i t. p. Przepisy te są stosowane również do kultury danego środowiska

i wszędzie wywołują wielkie zainteresowanie, przyczyniając się znakomicie, jak stwierdzają nauczycielstwo i lekarze, do zrozumienia potrzeby czystości wśród dzieci.

Z zasadami higieny łączy się ściśle wychowanie fizyczne, to też młodzież czerwonokrzyska uprawia i propaguje gimnastykę i sport. W czasie feryj wakacyjnych z placów gry warszawskich Kół korzystało dziennie do 300 dzieci, niemogących wyjechać z Warszawy; zorganizowano nadto kilkadziesiąt wycieczek, dostarczając dzieciom mleka i pożywienia. A było to prawdziwe dobrodziejstwo, korzystały bowiem z gier i wycieczek najuboższe dzieci.

W myśl zasady: „Kto kocha przyrodę—bliżej jest Boga”, rozwija też młodzież czerwonokrzyska pracę tworzenia ogródków dziecięcych i zagonków, aby wykorzystać każdy kawałek gruntu miejskiego, by zazielenił się i zapełnił kwiatami, niosąc świeży oddech dla płuc i radość dla oczu. Na prowincji posiada młodzież czerwonokrzyska sporo terenów; w Warszawie trudno jest o place na zagonki, jednakże przy kilkunastu uczelniach istnieją już zagonki w liczbie 1114. Około 1150 młodzieży pracuje w tych ogrodach z wielkim zapałem.

Praca ręczna prowadzona jest również w warsztatach, w których członkowie Czerwonego Krzyża młodzieży przygotowują bieliznę, odzież, obuwie, nawet meble! W Warszawie pracuje 9 warsztatów stolarskich, 18 szewckich, 7 krawieckich i 2 introligatorskie. Przedmioty, w nich wyrabiane, służą do rozdawnictwa dla tych, którymi Koła się opiekują i których wspomagają.

Młodzież czerwonokrzyska nie ogranicza jednak swej działalności do obszaru własnego kraju jedynie i wyłącznie. W myśl zasad Czerwonego Krzyża, pragnie utrzymać łączność przyjacielską, wymianę myśli, zapoznać się i dać się poznać rówieśnikom z innych krajów. Celowi temu służy korespondencja międzyszkolna.

Powołanie młodzieży wszystkich narodów do wzajemnej korespondencji, udzielania sobie tą drogą wiadomości o obyczajach danego kraju—jest nie tylko doskonałym środkiem pedagogicznym, rozszerzeniem horyzontów myślowych młodzieży, ale naprawdę—drogą bezpośrednią do ogólnego pokoju. To też różne instytucje pracy intelektualnej i wychowania w duchu idei pacyfistycznych i altruistycznych kładą wielki nacisk na tę sprawę. Na terenie zaś własnego kraju nie mniejsza jest waga takiej korespondencji. Młodzież uczy się doskonale tą drogą geografji, etnografji, historii, przyrody, rozwoju przemysłu i handlu, różnych właściwości danego miasta lub okolicy.

Przy pomocy nauczycielstwa i komisji oddziałowych oraz komitetu głównego—praca ta idzie doskonale. Zorganizowana jest korespondencja zarówno wewnętrzna, jak i z zagranicą; młodzież wykonywa albumy, obrazujące widoki, stroje, obyczaje, naukę, zabawę i t. p.

W kwietniu r. b. młodzież czerwonokrzyska dała poglądowy obraz rozwoju swej działalności, urządzając w Warszawie, w salach Kasyna oficerskiego, w Al. Szucha, wystawę swych prac. Ogromnym uszczerbkiem dla tego pokazu było to, że trwał on zakrótko, zamało osób mogło tę wystawę zwiedzić. Jest to wielka szkoda. Prześliczne roboty ręczne, bielizna, ubrania, ciekawe wykresy graficzne, bogaty dział zeszytów przyrodniczych, apteczki i przyrządy sanitarne, wzorowy pokój chorego, który śmiało mógłby się znaleźć na każdej wystawie higienicznej (istnieje on i funkcjonuje w infirmerji jednego z Kół, 47-go), a zwłaszcza artystyczne albumy, przeznaczone na wysyłkę dla rówieśników i kolegów czerwonokrzyskich zagranicą—oto inwentarz tej wystawy. Wystawiono i niektóre albumy, otrzymane z różnych krajów, i bez szowinizmu stwierdzić można, iż albumy polskiej młodzieży są o wiele piękniejsze: więcej w nich oryginalności,

pomysłowości, wrodzonego poczucia piękna i smaku artystycznego.

Zaznaczyć jeszcze należy, iż młodzież czerwonokrzyska od r. 1924 na prowincji, a od r. 1925 w Warszawie obchodzi dzień Matki, który święci corocznie nabożeństwem i akademją, podczas której obecnym na niej matkom wręczane są adresy i wiązanki kwiatów.

Tak pracuje dojrzewająca przyszłość Polski, młodzież, której hasłem są trzy naczelne prawidła: Zostawić wszystko w lepszym stanie, niż się zastało. Być gotowym w każdej chwili do przysługi i pomocy. Starać się ulżyć wszelkiej niedoli!

A pracuje cicho i skromnie, bez rozgłosu. To też zbyt mało wiemy o tej działalności. Należy się z nią zapoznać, nie dla chwalby i reklamy, lecz aby zrozumieć jej wielką wartość, podtrzymywać ją, pielęgnować i propagować dla pożytku ojczyzny i ludzkości.

Natalja Jastrzębska.



BOGDAN SUCHODOLSKI

REFORMA PROGRAMÓW SZKOLNYCH ZAGRANICĄ

W tej dziedzinie zarysowały się zmiany i dążenia bardzo zasadnicze, a będące wykładnikiem dzisiejszej sytuacji kulturalnej. Najsilniej podkreślaną i najczęściej spotykaną właściwością nowych programów szkolnych jest humanistyczność.

Czasy przerostu nauk przyrodniczych minęły już bezpowrotnie. W drugiej połowie XIX wieku nietylko metoda przyrodnicza była wzorem metody naukowej, ale i wnioski i wyniki badań przyrodniczych uważane były za rozwiązujące bezapelacyjnie wszelkie zagadnienia życia ludzkiego. Po pracach Rickerta, Windelbanda, Dilthaya, uniezależniła się metodologia humanistyki od metodologii przyrodniczej. A w związku z krytyką założeń poznania przyrodniczego, dokonywaną przez przyrodników samych (Poincaré, Mach) doprowadziło to do uznawania humanistycznego stanowiska i jego koncepcji budowy świata. Słowo „duch“ poczęto wprowadzać tam, gdzie używano „materja“. Przemiana ta zaznaczyła się i poza nauką. Im wyraźniej rysować się począł kryzys kultury, im w jaskrawszem świetle zarysowywać się począły grożące niebezpieczeństwa, tem wyraźniej ludzie zwracali się zaczęli do wiedzy humanistycznej, szukając ratunku,

wskazań dróg, któreby wyprowadziły z chaosu. Wielka wojna, budząc głęboko ludzkie przyzycia — przyczyniła się też znacznie do zwycięstwa humanistycznego punktu widzenia nad przyrodniczym.

I oto jesteśmy świadkami, jak w dobie potężnego rozkwitu techniki słabnie pozycja przyrodniczego poglądu na świat. Zupełnie, jakby zaakcentowanie zwycięskiej wielkości ducha ludzkiego, opanowującego przyrodę, wiodło ku głębszemu uwolnieniu jego samego.

Decydujące i zasadnicze zwycięstwo odniosła humanistyka w reformach szkolnych niemieckich. Uczyniono ją tam osią wychowania społecznego i zaznaczono wyraźnie, iż w dobie kryzysu kulturalnego jedyną drogą wyjścia jest wychowanie ludzi, rozumnie przywiązanych do wytworzonych wartości kultury, świadomych jej dróg i rozwoju, umiejących wśród niej pracować i tworzyć. Podobnie we Włoszech faszystowska reforma szkolna położyła główny nacisk na intelektualne i uczuciowe życie się z kulturą, na głębokie przejęcie się ideałami nowej, a przez faszizm tworzonej, kultury. Giovanni Gentile, twórca tych reform, broni w nich wytrwale — jak bronił, wspólnie z Croce, oddawna — pozycji idealizmu, druzgo-

cać ostatnie szeregi wyznawców pozytywizmu, lub materjalizmu. Jeszcze jaskrawiej pod pewnymi względami zwycięstwo humanistyki zaznaczyło się we Francji. Reformy Berarda dały mu krańcowy wyraz, wprowadzając do wszystkich szkół średnich obowiązkową naukę języków starożytnych (przynajmniej cztery lata nauki łaciny i dwa — greckiego), redukując godziny matematyczno-przyrodnicze.

Wprawdzie reforma Berarda nie utrzymała się długo, z różnych względów, ale stanowisko humanistyczne, którego była częściowym wyrazem, pozostaje nadal równie silne. Prowadzi ono do ideału „culture générale”, żądającego, aby szkoły średnie nie specjalizowały zbyt wcześnie, lecz aby wychowywały pełnych ludzi; aby na humanistycznych podstawach rozbudowywały i to z przyrodoznawstwa, co do „culture générale” należy. Uzasadnienia zwycięstwa humanistyki, lub nawet klasycyzmu, wskazują często na to, iż Francja musi znów wejść w okres wielkiej twórczości kulturalnej i kulturą swą nakarmić Europę, głosząc zwycięstwo zasad humanitarnych. Te cele wymagają kultury humanitarnej. Podobnie w Anglii. Tu nie dokonano wprawdzie wielkiej reformy szkolnej, ale wszelkie próby i zarządzenia zmierzają do baczniejszego uwzględnienia spraw społeczno-państwowych, do obywatelskiego wychowywania młodego pokolenia, ponieważ wchodząc w życie niespokojne i pełne niebezpieczeństw, wymaga takiego właśnie wykszolenia. Jedynie Rosja uderza w ton odmienny częściowo. Szkolnictwo sowieckie przekreśla, o ile to możliwe, naukę o kulturze dotychczasowej. Jest to przeciwieństwo kultura burżuazyjna. Trzeba od nowa, nową kulturę zbudować. I to na podstawach marksizmu. W tej pozytywistyczno-materjalistycznej koncepcji duch humanistyki niewiele ma do powiedzenia. Stąd nauki przyrodnicze i matematyczne otoczone są uznaniem. Związek rewolucyjnych teorii z temi naukami, a niechęć do humanistyki wyjaśnił kiedyś Sombart, wskazując na to, iż wnoszą one atmosferę nieugiętego racjonalizmu, podczas gdy tamte są raczej uczuciowe, tradycyjne, burżuazyjne.

W związku ze zwycięstwem humanistyki i dzisiejszym kryzysem kulturalnym pozostają dwie inne jeszcze tendencje: myśl o współczesności i wychowanie obywatelskie. Obie te sprawy ściśle się wiążą ze sobą i z poprzednią. Wynik jest ten, iż szkoła przestaje zamykać oczy na rzeczywistość współczesną i przemilczać wszystko, co świeże i żywe. Przeciwnie: o tem ma właśnie mówić. I to zarówno dlatego, że współczesność wymaga ludzi, świadomych jej życia, jak i dlatego, że młodzież powinna móc mówić w szkole o tych wszystkich rzeczach, które ją interesują. Zgo-

dnie z tem wprowadza się do szkoły szeroko pojętą naukę o współczesności i państwie; nie tylko zezwala się, ale i poleca—jak w Niemczech—dyskutowanie spraw takich, jak kryzys parlamentaryzmu, komunizmu, faszyzmu i t. p. Dyskusje na tematy społeczne prowadzi się we Włoszech już w szkołach powszechnych. Podobnie baczna uwagę poświęca się sprawom tym we Francji. Często gazety lub odezwy stają się punktem wyjścia dyskusji. Radykalni zwolennicy współczesności w szkole pragną odwrócić zupełnie przebieg nauczania. Uważną obserwacją współczesności powinna być podstawa i ogniskiem pracy szkolnej; powoli dopiero i stopniowo dołączać należy—jako wyjaśnienie tego, co jest—wiedzę o rzeczach niedostępnych bezpośrednio dzisiejszej obserwacji. Takie postulaty zmieniają, oczywiście, zasadniczo nie tylko już programową i dydaktyczną organizację szkoły, ale również i jej wewnętrzny duch: stosunek uczniów do nauczycieli i uczniów do szkoły musi być inny wówczas, gdy wszystko tętni współczesnością, a inny wówczas, gdy szkoła naucza o rzeczach odległych. Od życia, tedy, do wiedzy o niem—a nie odwrotnie.

Dalszem zagadnieniem z zakresu programu nauki szkolnej, jest paląca sprawa redukcji materiału nauczania. Wraz ze wzrostem i wzbogaceniem wiedzy, wzrósł on niesłychanie, oderwał szkołę średnią od życia i przytłacza zupełnie ucznia i nauczyciela.

O redukcji mówi się wszędzie.

Jest to jednak zadanie nierozwiązalne na gruncie przesądów intelektualistycznych i kultu wiedzy. W tej płaszczyźnie każda wiadomość jest równie ważna i pozbywać się jakiegokolwiek jest równie żal. Zasada podawania rzeczy najważniejszych traci w ten sposób praktyczną użyteczność, gdyż nie istnieje jasne kryterium tego, co jest najważniejsze. Nauka nie zna takiego pojęcia. Mówi się o tem tylko ze stanowiska życia i jego potrzeb. One stanowią podstawę hierarchii ważności, i dlatego kwestja redukcji programów może być rozwiązana tylko na gruncie wychowawczym. Cele i potrzeby wychowawcze są najwyższą instancją, wyrokującą o tem, co i jak w materiale nauki zredukować. I oto jesteśmy świadkami przeprowadzania redukcji i zmian w programach szkolnych na tej podstawie właśnie. Tak się dzieje w Niemczech, we Włoszech i w Rosji. Państwa te stanęły na stanowisku, iż zasadniczym celem szkoły jest wychowanie człowieka, przejętego kulturą niemiecką, faszystowską, ewentualnie—komunistyczną, i z tego stanowiska dokonały daleko idącej redukcji materiału nauczania, usuwając z niego to wszystko, co ani bezpośrednio, ani pośrednio (rozwój inteligencji) celom tym nie służy. Na podobną drogę wchodzi obecnie Francja.



M. H. SZPYRKÓWNA

ZANIM KLAMKA ZAPADNIE

Czerwony krzyżyk

Nieznany żołnierz doczekał już swego pomnika. Nieznana sanitariuszka—jeszcze nie. I czy kiedykolwiek doczeka? Nie wiem! Jest to szary szereg najbardziej krwawego bohaterstwa—takiego, które nie jest widoczne poszczególnie. Które zaczyna być widoczne dopiero w masie, kiedy nagromadzi się go tak wiele, że aż—zaczyna samą ilością zwracać uwagę. Tak jak jeden niemy przecież zginąłby w tłumie podczas jakiejś szalonej manifestacji, albo szalonej paniki, kiedy wszyscy krzyczą. Ale wyobraźmy sobie wielu niemych, tłum niemych: wielki tłum, milczący i nieruchomy w ogólnym krzyku i rozgardjaszu. Zwróciłby uwagę, zdumiał, zatrzymał wszystkie oczy na sobie. Kto to? Co to?..

Nie wiedziałam o sanitariuszkach więcej, niż się o nich zazwyczaj wie. Że noszą biały pielęgniarski fartuch z czerwonym krzyżykiem—jakże trafnie obrano jego kolor—po wiek wieków kolor męki!.. że podczas wojny okazują się czasem prawdziwymi bohaterkami, że są naogół źle wyposażone i że na tem tle zdarzają się niemiłe konflikty moralnościowe. Że jedni ich gorąco bronią, inni—dość lekko opowiadają o nich wojenne przygody. I że w czasie wojny przyjeżdżał do jednej z organizacyj kobiecych u nas pewien ksiądz-społecznik z gorącym wezwaniem, aby się zająć poplepszaniem ich bytu, coś wykołatać u wojska, u Sejmu, u społeczeństwa, bo na kogoś miał za to spaść ciężki grzech—bo ta ich twarda dola jest główną przyczyną odchyłeń, jakie się zdarzają.

Ale w czasie wojny wszystko ginie w huku armat, w porażkach i zwycięstwach armij, w szalonym napięciu serc, walących w takt przemarszu wojska. Może tam komuś i dzieje się krzywda, może ktoś nawet niesłusznie zginie: ale czyż mało się dzieje głośniejszych krzywd, i któż u wojny będzie dochodził słuszności, kiedy i pokój niezawsze ma jej dość? A czasu pokoju sanitariuszka ginie gdzieś w dalszej jeszcze perspektywie, bo i cóż ma do robienia, kiedy nikt nie wojuje?

Pewnego pięknego majowego dnia zdarzyło mi się być na Powązkach. Może ktoś nie wie, że tak się nazywa główny cmentarz warszawski—piękne, szerokie, wielmożnie ocienione starymi drzewami miejsce spoczynku umarłych, gdzie jest wiele przeslicznych pomników, tablic i nagrobków, ku wiecznej pamięci tych, którzy odeszli? A o których jednak, z jakichbądź względów, żywi uznali za stosowne pamiętać? Szłam zielonemi, alejkami, w zaciszu, w słońcu,

w spokoju, i odczytywałam sobie tablice. Widać z nich było, że ten przeżył uczciwie tyle a tyle lat, że inny osierocił niepokieszoną rodzinę, bo był wzorowym ojcem i mężem, że o tej nie zatrze się nigdy pamięć w sercu dzieci, bo była matką nad matkami. Że jeszcze inny słynął, jako przykładowy obywatel, zaco rodacy dźwignęli mu pomnik. A taki znów doczekał się tablicy od całego kraju. I tak oto, rozważając upamiętnione napisami zasługi, doszłam do skraju słonecznej alejki, gdzie się zaczyna nowa, niezamieszkała jeszcze „kwatery”. I zdziwiłam się ogromnie. Na niej, jak okiem sięgnąć, wyciągnął się wzdłuż szereg jednakich, niziutkich, ubogich krzyżyków, bliźniaczo do siebie podobnych—mogilek, jakby wyciętych foremką dziecinną z piasku—i porządnie uszeregowanych, po wojskowemu, do meldunku. Żadnych tablic, napisów, nic. Cóż za bezimienne pospolite ruszenie? Co za szczególna straż?..

Pochyliłam się i zaczęłam oglądać tabliczki. Były maleńkie przy każdym krzyżyku. Najdziwniejsze bilety wizytowe, jakie kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło, przeraźliwe swoją jednostajnością. Najpierw—zastanawiające, potem—niepokojące, potem—przerażające, potem...

Potem siedziałam naprzeciwko owych trzyszerogowych okopów—i płakałam, jak małe dziecko. Temi najbezradniejszymi łzami, które są tylko czczym sentymentem, ulgą dla nerwów, bo istotnej korzyści już przynieść nie są wstanie. Ale już nie mogłam się opanować, nie mogłam, nie mogłam! Był to właśnie ów krzyk niemych, milcząca groza, która przykuwa oczy wtedy, kiedy się zjawia gromadnie. Na tabliczkach nie było nic, tylko najkrótsze dane—imię, nazwisko i wiek:

- Zofja K., lat 23, sanitariuszka.
- Irena Ł., lat 20, sanitariuszka.
- Marja Z., lat 22, sanitariuszka.
- Barbara J., lat 19, sanitariuszka.

I tak dalej. I tak ciągle. I tak bez końca. Dwadzieścia, dwadzieścia dwa, ośmnaście, dwadzieścia cztery. Prawie niema innych, prawie wszystkie są w tych dwudziestych latach. Raczej—wiosnach. Raczej—najcudowniejszym maju swego życia, kiedy inne Zosie, Irki, Baški i Muszki są szczęśliwymi narzeczonymi. A nieraz—narzeczonymi tych, którzyby dawno nie żyli, gdyby ktoś, kto ich pielęgnował w tyfusie, nie był ich uchował ku życiu, słońcu i szczęściu—a sam nie spoczął na ostatniej kwaterze pod

szeregowym krzyżykiem obowiązku!.. I nikt na tem miejscu nie wystawił tablicy, pomnika, ani kamienia wiecznego, ku pamięci, że ot leżą tam prochy, których duch jest godzien wspomnienia narodu!

Sanitarjuszka. Ofiarniczka Czerwonego Krzyża—krzyża męki, nie krzyża zasługi.

* * *

Jestem zupełnie pewna, że mimo wszystko, co piszę, i mimo wszystko, cokolwiekby się dziać na wojnie i przy pokoju miało: sanitarjuszki będą zawsze! Istnieje kategoria kobiet, jakgdyby grawitująca nieświadomie do tego szczególnego haszyszu moralnego, jakim jest poświęcenie. Kobieta musi się poświęcać — jest od wieków i wieków apostołką dobrowolnej ofiary:—od męczennic chrześcijańskich, rozdieranych przez lwy dla Boga, poprzez żony hinduskie, spalane na stosie dla męża, do sanitarjuszki wszechświatowej, zatruwanej, zarażanej i rozstrzeliwanej na wojnie dziś dla... każdego. Fach ten, jeśli to fachem nazwać można: nie zginie, dopóki żyje kobieta—i dopóki ktoś, drogi tej kobiecie, będzie rozstrzeliwany, zatruwany, zarażany, a ona go poratować będzie mogła.

Tak, że niema mowy o tem, aby sanitarna służba kobiet przestała istnieć, ale może i powinna być mowa o tem, aby:

1—sanitarjuszka, przy swojej ciężkiej pracy, była odpowiednio uposażona, ubrana, zabezpieczona dla uodpornienia zewnętrznego;

2—odpowiednio wyszkolona medycznie dla zabezpieczenia się możliwie mocno przed zakażeniami, które pielęgnować musi, i

3—otoczona przez władze i przez społeczeństwo taką samą opieką i troską, jak inni obrońcy ojczyzny, bo dola jej niczem nie jest lżejsza, a wysługi — dużo mniejsze.

I czyż nie dość jest, że żyje tak ciężko, aby jeszcze umierała — poza nawiasem?

A teraz—słówko o wykształceniu sanitarnem kobiety, jako takiej.

Nie trzeba chyba dowodzić, że każda z nas musi z konieczności być u siebie w domu sanitarjuską—zwłaszcza, jeśli ma dzieci. Niema takiego tyfusu i niema takiej cholery, któraby od łóżka chorego dziecka odstraszyła — matkę. Będzie i tak chorowała jego chorobą — a tymczasem powinna nie tylko mu pomóc do wyzdrowienia, wykonywując zlecenia lekarza, ale jeszcze—powinna nadewszystko dbać o siebie samą.

Bodaj ze względu na pozostałych domowników — bo czyż nie jest słońcem, koło którego krąży całe życie małego mikrokosmu—rodziny? Z jego zgaśnięciem rozpada się jeden mały świat — i nieraz leci w otchłań zagłady. Dlatego każda kobieta powinna być obeznana z higieną domową wogóle, z aseptyką — w szczególności, z pierwszym ratownictwem — koniecznie. Są kraje, gdzie już szkoła średnia włącza do programu te przedmioty—a niektóre nawet dają kurs o pielęgnowaniu niemowlęcia. Nie idąc tak daleko, dobrzeby jednak może było wprowadzić kurs sanitarny w zakres przedmiotów, obowiązujących już szkołę średnią — bo nie wiem, czy nie stokroć jest potrzebniej wiedzieć, jak się leczy szkarlatynę, lub zapobiega zakażeniu, niż jak się wyciąga pierwiastki?

A wówczas, gdyby ogół kobiet był bardziej wykształcony w racjonalnej ochronie przeciwważnej: możeby i ów nieskończony rząd żołnierskich mogiłek na Powązkach zmałał o kilkanaście? Możeby trud i krzyż, niesiony przez pewną tylko grupę kobiet: rozłożył się na ogół rzesz kobiecych i ujął im nieco ciężaru?

Jakkolwiekby — ten szereg krzyżyków jest sam przez się najszczególniejszym pomnikiem: drogą krzyżową, którą przebyła — i u której kresu legła, nieuczczona żadną tablicą, nieznana, a nieraz — zapoznana, szara pracowniczka szeregową z armji swojej ojczyzny — sanitarjuszka!



LUCYNA KRZEMIENIECKA - WOLICOWA

RZODKIEWKI

*Rozczochrane, zielone czuprynki rzodkiewek
Pachną ziemią wilgotną, niebem i koszykiem.
Kryją kulki pyzate, nieśmiałe i dzikie,
Czerwone, jak policzki krzepkich, wiejskich dziewczek.*

*Są jeszcze inne — białe, słońcem podpalone,
Śpiewają proste pieśni pasiastego fartucha.
Życie staje się nagle świeżo zoranym zagonem
I śmieje się, jak baba: od ucha do ucha.*

KARTOFLE

*Nie wierzę, że was przywieźli zdaleka, z za oceanu —
Dziećmi jesteście Polski, jej chlebnych, strzępiastych łanów.*

*Z brunatnej koperty ziemi list wysyłacie zielony.
Śmieją się do was siarczyście słońcem zalane zagony.*

*Wiatr obertasy wywija z kwieciem o oczach złotych.
Strzechy w niemodnych czepcach uczą was polskiej tęsknoty.*

*A w ziemi tętnią już życiem tysiącznych bulw serca szare,
Marząc o dymach ogniska i pieśniach lipowych fujarek.*

GROCH

*Ziarnem cię w ziemi złożono,
Jak w staroświeckiej szufladzie.
Potem ci rosły ramiona
I zieleniałeś z dnia na dzień.*

*W zielonej krwi pulsowała
Modra do wyżyn tęsknota.
Po tyce bieć chciałeś cwałem,
Świat cały chciałeś omotać.*

*Kusiłeś poranki letnie
Kraśnemi wargami kwiecia.
Tysiąc dawałeś obietnic,
By tylko móc w słońce wzlecieć.*

*Raz w sierpniu, gdy wieczór zamilkł
I słońce napół rozkroił,
Sypiąc ziarnami, jak łzami,
Pękło ci serce na dwoje.*



KRYSTAŁOWA KULA

Lister Day był wytracony z równowagi; wzbierała w nim niechęć do żony—głucha, nieumotywowana; małe ziarnko obcości wyrastało w bolesny węgier, utajony na dnie świadomości, drażniło dokuczliwie, ssało podczas porannej gimnastyki; przy związaniu misternego węzła krawatu obiecywało się przerodzić w gniotącą narośl, którą spostrzegał w lustrze—przeświecała poprzez wysokie, skupione czoło. Napróżno usiłował nie wiedzieć i nie czuć—niechęć była w nim, żadnego sposobu na wykarczowanie jej nie posiadał i wiedział, że nie znajdzie.

— Przedewszystkiem, nie kocham—perswadował sobie, ściągając nieposłuszne tasiemki bucików—wogóle nie kochałem nigdy!—sapał, zaciągając szelki na pokaźne, kwadratowe bary.—W naszym małżeństwie tkwi błąd: zostaliśmy omamieni, to znaczy, ja jestem otumaniony, zwiedziony wdziękiem delikatnym tej małej złocistej kobietki, która dzisiaj jest moją żoną—mojem nieporozumieniem. Małżeństwo—to dobry kawał dla młodych, zielonych bubków, ale nie dla solidnych panów—nie jestem przecież zielony.

Rzeczywiście—lustro odbijało rosłą postać Listera, o twarzy pełnej, prawie nalanej, tryskającej zdrową, pierwotną siłą. Dałoby się ją określić, w języku malarzy—czerwienią, purpurą, fioletem, ale stanowczo zieleni niktby się w niej nie dopatrył. Nie widział jej także Lister w owalu weneckiego zwierciadła; zobaczył zato wiszące na nim spojrzenie żony. Przysiadła na łóżku, cała różowa, delikatna, jak obłok, i, podparłszy łokcie na uniesionych kolanach, ogarniała pełnem uwielbienia spojrzeniem postać męża.

Lister odwrócił się do niej:

— Dlaczego nie śpisz, Leno? dopiero ósma rano, prawie noc, śpij!—rozkazał—musisz być zmęczona!—Przemawiał teraz do niej spokojnie, jak ojciec, tylko w tonie wibrowały metaliczne odgłosy, obce, surowe, niedobre.

— Nie jestem śpiąca, zupełnie, zupełnie... Jaki z ciebie jednak wielki mężczyzna! gdy tak chodzisz po tym pokoju wyniosły i czarny, zdaje mi się, że jesteś olbrzymem, a ja małą, małą istotką. Gdybym teraz tak, jak jestem, stanęła przy tobie, przeszedłbyś obok, niby koło muszki małej, nie zauważyłbyś wcale swojej małej, małej żonki...

Nim Lister poruszył się z miejsca, była już przy nim; przywarła całą ciepłą postacią do piersi męża, wspierała się na końcu paluszków, by sięgnąć do ust Listera.

— Co za szaleństwo, Leno!—strofował surowo i, unosząc łagodnie, jak dziecko, zaniósł na łóżko, złożył ostrożnie, niby lalkę cenną, aby nie uszkodzić.

— Nie można!—powtarzał—przeziębisz się! nie trzeba! nie mam czasu!—Odciągał sploty jej rąk z karku, strząsał, niczem mokry pies, pocałunki, którymi go zasypywała. Wreszcie otulił ją na posłaniu, rozkazał, by była grzeczna, i cicho na palcach opuścił sypialnię, poprawiając starmoszony krawat i zjeżone rękami żony włosy.

— Oto rozkosze małżeństwa! rozkapryszona kobietka, pełna histerycznej egzaltacji, a ja, rozsądny człowiek, dałem się porwać takiemu stworzeniu, noszę ją na rękach, otulam w kołdry, straszę, strofuję, zamiast zjeść śniadanie i jechać do redakcji. Dziewięćta!—znowu się spóźniłem! Co myśli sobie referent i wszyscy sekretarze! Oto, żem dostał bzika, że ja, człowiek niezależny, wolny, tkwię, niby lew w klatce, zgromiony i wzięty przez tę małą kobietkę, która, podobno, według praw ludzkich i boskich, jest moją żoną od paru nędznych miesięcy.

Jadł gorączkowo, w pośpiechu, jadł dużo, na cały dzień: nie miał później czasu. Zakąski, jaja, sery, szynka, gorąca herbata, kawa! Szybko przerzucał stosy przygotowanych gazet, filtrował tytuły, podpisy, wyciskał ważniejsze ustępy treści, notował w pamięci uwagi, pomysły; cały arsenał słów, myśli, wyrażań, który się składał na warsztat jego pracy i działalności. Nie spostrzegł nawet, że żona nalewa mu kawę i ze słodkim uśmiechem smaruje bułki, które stawiała mu pod ręką. Był w tej chwili zbyt zaabsorbowany mową prezesa ministrów, by reagować na jakiegokolwiek, niezwiązane z tem, sprawy świata; budował właśnie kunsztowny gmach przymierza między Ameryką i Niemcami, miażdżył Brytanję podstępna przyjaźnią, odsuwał na bok krwiożercze zamiary Japonji i pławiał się w odmęcie burzy chińskiej:—O, gdyby tak wojna między żółtemi! Co uczyni Rosja?! Co?...—Oparzył wargi ukropem kawy, syknął z wściekłością:—Paskudztwo!!! i spostrzegł żonę...

Przeżona patrzyła na męża:—Oparzył się! Boże!... Całe nieszczęście z jej winy...

— Przepraszam cię, kochany! kawa gorąca, lubisz gorącą; chciałam, jak najlepiej... doprawdy, widzę, że nie nadaję się na żonę.—Miała taką pokorną i zbitą minę, że cała wściekłość Listera spłynęła ze śliną; poprostu—nie miał serca na wyrzut. Ostatecznie—ta mała musi go kochać, ale doprawdy, nie miałby nic przeciwko temu, by go kochała mniej, troszeczkę mniej... by nie otaczała go opieką i troskliwością, niby małe, bezradne chłopię. Dlaczego nie rozumie, że go to upokarza, osłabia, niszczy „żelazną, twardą surowość“, tak potrzebną w jego zawodzie!?

— Jesteś niepoprawna. Gdybyś spała, pokojówka podała by kawę, nie miałbym poparzonych ust — ty — zmartwienia, a redakcja — spóźniającego się redaktora... Pomyśl: w ciągu piętnastu lat nie spóźniłem się nigdy, prześladowałem opieszalnych pracowników, wydalłem spóźnialskich, drwiłem ze śpiochów, po katońsku zwalczałem uchybienia. Dzisiaj — sam jestem niezdatnym pracownikiem, z którego pokpiwają wszystkie sekretarki. Nadmiar „naszej“, właściwie twojej egzaltacji dobry jest od święta, ale w codzienny, szary dzień pracy — to luksus, to gnuśność, to... to... — nie skończył.

Milczała; stała z ramionami spuszczonei bezwładnie ku ziemi, z oczami wbitemi w podłogę. Jej małe piersi falowały pod koronką koszuli, krtań drgała podejrzenie. Nie płakała — tegoby Lister nie zniósł, rozbroiła go przecież odrazu. Zapomniał, o czym mówi. Zbliżył się do żony i podniósł ku górze jej głowę:

— No, mała! przepraszam! Mówię głupstwa — to z pośpiechu, więcej nie będę. — W tej chwili ze wstrętem konstatawał, że jest małym chłopakiem, który się tłumaczy. — Do pioruna!! Od 15-tu lat Lister Day nie tłumaczył się przed nikim!

Uspokoila się odrazu. (Ile to w kobiecie przewrotności! — zauważył ze zgorszeniem Lister). Umieścił ją więc przy stole i zebrał pęk potrzebnych gazet:

— Spakuj mi to do teki! — Po chwili był we drzwiach. — Dowidzenia, żegnam do wieczora!

Powiał na nią chłód od tych słów, ogarnęło zimno. Zdawało się, że zroszone szyby pokrywają się smukłemi, postrzępionemi kwiatami mrozu, tak blademi i nikłemi, jak krwiste i płonące w purpurze były kwiaty jej uczuć dla tego wielkiego, szorstkiego w obejściu mężczyzny.

* * *

Poszedł. Wiedziała, że nie wróci przed wieczorem, przed sakramentalną godziną siódmą — godziną ich małżeńskich obiadów. Tak było od pierwszego dnia, tak będzie zawsze.

Z przerażeniem ogarniała długi korowód godzin samotności, wyczekiwania na jego powrót do życia. Zdawało się, że w ciągu dnia Lister odchodzi w bardzo odległą i nieznaną krainę, która się nazywa jego zajęciem, dziedziną jego pracy, zainteresowań, skłonności. Często powtarzał te słowa, wielokrotnie padały na jej świadomość, niby ciężkie odłamy nieznanego kruszcu; nie kryły jednak żadnej treści, dającej się opanować, ująć w mocne kleszcze zrozumienia.

Nie kontrolował jej zajęć, nie pytał, co robiła w ciągu dnia — to było takie proste. Mogła leżeć do południa, ubrać się w jedną z licznych sukien; mogła się stroić długo i starannie, umówić z krawcową, mo-

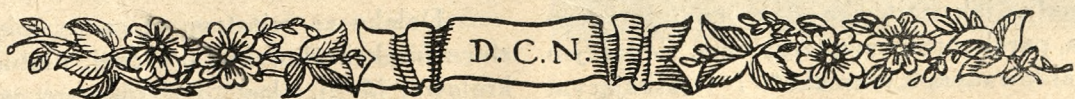
dystką; mogła wreszcie zasiąść w modnej kawiarni, w gronie znajomych kobiet, krytykować tualety sąsiadek, jeść ciastka, zbierać tysiączne strzępki nieskończonych plotek, uśmiechać się lub chmurzyć, słuchając komplementów tych licznych, nieskazitelnie ubranych, bladych, doskonale opanowanych panów, których napewno można spotkać w cukierni o każdej porze, którzy z uśmiechem drwią z zapracowanych „mamutów i mężów“, szepcą w przelocie gorące, bezwstydne słowa i z przesadną pieczołowitością otulają w futro, zapinając je dokładnie i szczelnie pod samą szyję. Tak mogłaby wypełnić godziny dnia temi wszystkimi rozkoszami bogatej kobiety. „Kobiety bez zajęcia, obowiązków, umiłowań“ jak to nazywał Lister; ale nie korzystała z szerokich możliwości, kładących się przed nią pokornie, zapraszających szerokim, przymilnym gestem życia w ramy pstrego, zgiełkliwego jarmarku lekkich i prawie niewinnych uciech, na które mogłaby i powinna sobie pozwalać. Nikt jej nie kontrolował, nie badał — owszem, mogła liczyć na daleko posuniętą aprobatę Listera pod każdym względem.

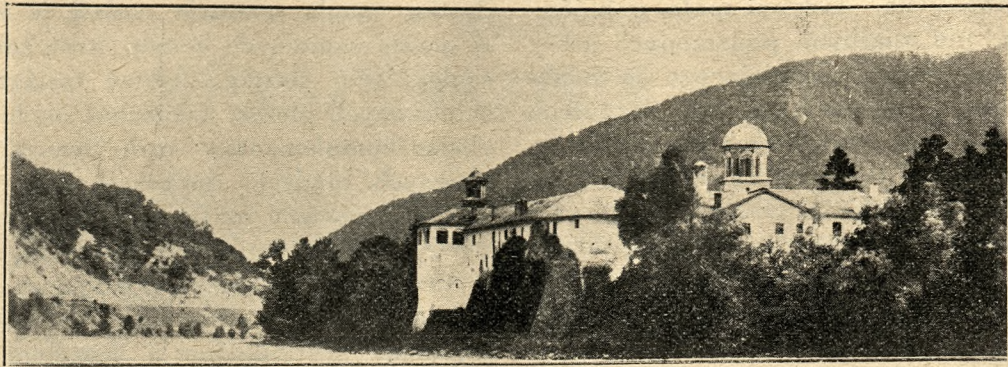
— Jestem człowiekiem nowoczesnym, Leno — powtarzał chętnie i zawsze przy każdej okazji — cenię ludzką niezależność, prawo do równego podziału dóbr życiowych między mężczyzną i kobietą. Wszystko, co dozwolonem jest mężczyźnie, dozwolone jest i kobiecie; małżeństwo, to nie pęta, przez mus narzucone, lecz wolna, nieprzymuszona umowa dwojga ludzi w obliczu praw społecznych i etycznych. Tyle jest małżeństw, ile par, je zawierających. Jest rzeczą każdej z nich ustalenie i unormowanie form swojego współżycia; małżeństwo w znaczeniu — to jeno ramy, treść — to rzecz mężczyzny i kobiety.

Rzeczywiście, Lister był wierny sobie. Przedślubem poważnie zakomunikował jej ten pogląd w sposób, niepodlegający dyskusji; informował ją w imię uproszczenia przyszłych stosunków, w imię prawdy, iżby wszystko rozumiała i była ostatecznie przygotowana do obowiązków, zresztą minimalnych, które na nią przez to małżeństwo spadną.

W swoim małżeństwie widział przystań zasłużoną po 15 latach pracy bezwzględnej, twardej, nieustępliwej.

— Byłem nędznym reporterem, któremu płacono po dolarze od sensacji; ale wybuchła wojna rosyjsko-japońska: pojechałem na front, jako korespondent, wróciłem — człowiek z przyszłością. Szczebel po szczelbu brałem przeszkody; upewniam cię, że wielu skreśliło karki na tej drabinie. Wreszcie, ostatnia wojna — przewidziałem ją, oeniłem, biłem na alarm — dzisiaj jestem siłą, redaktorem koncertu; płać teraz po do larze za literę — płaciliby więcej, gdybym zechciał.





Rumuński klasztor w górach

Z. R A B S K A

WRAŻENIA Z BUKARESZTU

ULICE

Na Calea Victoriei, głównej ulicy Bukaresztu, myśli się często o wyrazie, od którego pochodzi Bukareszt. Bucurie—znaczy radość. Wyraz znamienny! Kiedyś tam—powiada legenda—hospodar Mircea, zwany Starym, pobił Turków i z wielkiej uciechy zbudował dla siebie miasto rezydencjonalne, nazwawszy je: Bucuresti — miasto radości. Nigdzie tak wybitnie nie występuje ta charakterystyka Bukaresztu, jak na Calea Victoriei. Tłum przechodniów o wieczornej porze płynie, gwarzy, śmieje się, spływa z wąskich chodników na jezdnię, raz poraz nurza się w świetle lamp elektrycznych przed kinami. Jest tu naprawdę wesoło, na tej Calea Victoriei. Trochę przypomina się Wiedeń, a trochę Paryż—zwłaszcza beztroski, musujący szampańsko Montmartre. Niktby nie przypuszczał, że za tą ulicą, co tak szumi i musuje, tuż obok są przedmieścia—„mahala”, jest Wschód kolorowy, rozbrzmiewający krzykiem handlarzy dywanów, zachwalających swój towar na wybrzeżu Dumbowicy.

Obok kobiet, otulonych w wytworne futra, na Calea Victoriei przesuwają się nierzadko chłopcy w ciężkich baranicach i górale w serdakach i cyfrowanych spodniach. Kobiety idą krokiem elastycznym, sztywno nieco, z główkami w górę podniesionymi, a podobno ta właściwość ich chodu powstała stąd, iż ich praprababki—będąc jeszcze włóściankami—nosiły warzywa, bieliznę, chleb w koszyku na głowie, co wytwarza konieczność trzymania się prosto, aby koszyk równowagi nie stracił...

Lokomocje w Bukareszcie najprzeróżniejsze. Obok wspaniałej limuzyny przesuwają się truchcikami tramwaj konny, mały, jak zabawka dziecinna; turkocze dorożka ciężka, parokonna z izwoszczykiem, siedzącym na koźle w fałdowanym „jarmiaku” i trzaskającym

z biczyska, a obok pędzi małe, zgrabne „taxico” na dziesięć osób, w którym konduktorką jest kobieta.

O uszy obija się dziwny język, z którego po upływie dni paru zaledwie kilka wyrazów zapamiętać można. Podobno na dziesięć wyrazów rumuńskich przypada pięć łacińskich, trzy słowiańskie, a dwa z innych przyjęte języków: z węgierskiego, tureckiego i greckiego.

Ładnym miastem jest Bukareszt, ładnym i dziwnym. Olbrzymie zajmuje przestrzenie — prawie tak rozległe, jak Paryż—przy półmilionowej zaledwie ludności. Pochodzi to stąd, iż niemal każdy mieszkaniec musi mieć swój własny, piętrowy domek, swoją „casa”. Oszczędza na wszystkim, nie bawi się, nie przesiaduje w kawiarni, prowadzi żywot moralny. Ale w końcu wybuduje sobie swój własny domek, a obok garaż dla pięknej limuzyny w stylu maurytanizowanego bizantyizmu.

Bo Bukareszt — to miasto pałacików.

Możnaby także powiedzieć, że Bukareszt to miasto, w którym najwięcej widzi się... kotów i psów. Koty z psami żyją w zgodzie. Ujadają i miauczą w zgodnym chórze. W wąskich, bocznych ulicach spotyka się nieraz pieskie rzesze w zażyłych stosunkach z kotami.

I trzecia jeszcze charakterystyczna cecha Bukaresztu: jest to miasto nieposzlakowanej uczciwości. Można jechać tramwajem i cisnąć się do kina z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, można walizki zostawić na ulicy, a woreczek w sklepie na ladzie.

Nikt niczego nie ruszy.

ZAMEK COTROCENI

Daleko za miastem, otoczony pięknym parkiem, stoi zamek królewski Cotroceni, ulubiona rezydencja królowej Marji. Jest to zbudowany w stylu bizantyjskim



Monaster Horezu

skim były monaster, w XVII wieku oblegany i zdobyty przez Turków, odzyskany z końcem XVIII stulecia, a w pierwszych latach panowania księcia Karola przemieniony na letnią rezydencję.

Tutaj żyje królowa Marja, oddana w swoim „study-room“ pracy literackiej i z wykwinłym smakiem dobieranym lekturom. Tu, przed kominikiem, na którym płoną szczapy drzewne, czyta swych ulubionych mędrców i poetów i marzy o przeszłości, kiedy to, rozkochana w bajkach dziecięcych, starała się cały otaczający ją świat zamienić w kolorową bajkę.

Ale myśląc o niej, trzeba jednocześnie pamiętać o jej wysokiej poprzedniczce, o królowej Elżbiecie, żonie ks. Karola I, pisującej pod pseudonimem Carmen Sylwy. Tron rumuński miał szczęście do poetek. Carmen Sylwa dała cały szereg pięknych utworów, pisanych w języku niemieckim, ale zrodzonych pod niebem jej przybranej ojczyzny, a młoda następczyni tronu Marja swojego czasu pod jej kierunkiem próbowała sił swych na polu literackim i dziś jest pisarką, której utwory tłumaczone są na kilka języków europejskich.

Czy w duszach obu tych kobiet nie obudził tęsknoty za poezją szum starych drzew w parku Cotroceni? Czy podczas długich przechadzek ścieżkami i alejami tego parku nie odezwały się w nich pierwsze pragnienia ubierania w słowa tęsknot kobiecych?

Milczą o tem drzewa. Ale wszakże w gąszczach ogrodu przed laty zostały pochowane zwłoki córki Carmen Sylwy i ks. Karola. Nad tą mogiłą stała matka w żałobie, a pierwszemi elegjami, jakich słuchała młoda następczyni tronu, był poszum drzew mogilnych. Czyż nie wtedy na czołach zamysłonych kobiet Anioł Smutku nakreślił stygmat Poezji?

W METROPOLJI

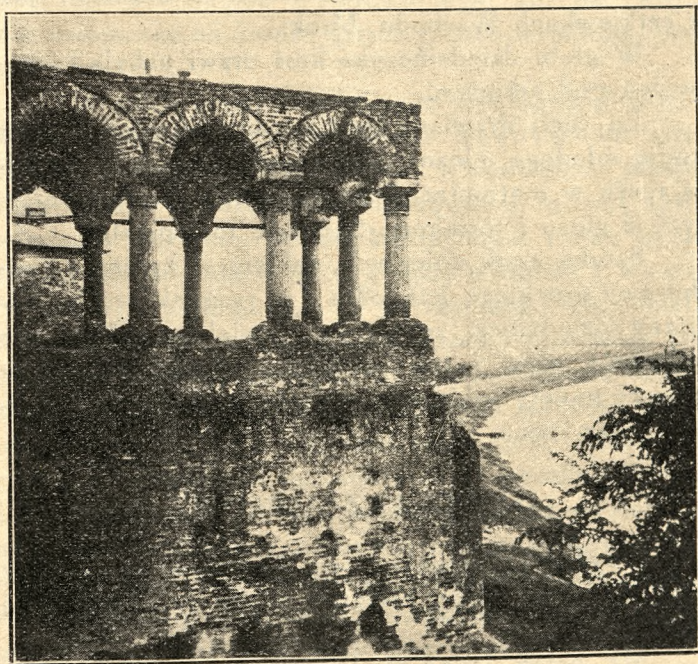
We wnętrzu metropolji panuje bursztynowy mrok. Poblýskują złotem święte, stare ikony; srebrny blask rozrzucają zawieszono u stropu sturamienne świeczniki. Cicho stąpamy po matach...

Twarze hieratycznych Świętych i męczenników mają wyraz zadumy i lekkiego zdziwienia. Niema w tych twarzach bóleści, ani smutku, ale spokój dziwny. Przypominają się mozaiki z Monreale na Sycylji, a także kilka twarzy surowych, a słodkich ze zburzonego soboru warszawskiego. Modlić się niesposób. Zawiele tu złota, blasku i świetności. A także niesposób głośno przemówić, a nawet westchnąć.

Rumun z długimi, wypomadowanymi włosami, w długim, fałdowanym płaszczu, podobny do rosyjskiego popa, pobrzękując kluczami, oprowadza dokoła cerkwi i coś tłumaczy, czego nikt nie rozumie. Przed chwilą zapytał, czy ma objaśniać w rumuńskim, czy w rosyjskim języku, a nie usłyszawszy zdecydowanej odpowiedzi, widocznie posiłkuje się obu językami na przemian.

Zresztą niewiele jest do powiedzenia o kościele metropolitalnym w Bukareszcie. Został w XVII-tem stuleciu zbudowany na wzgórz, obok pałacu archiereja. Na frontonie, pod arkadami, ma kilka zblakłych fresków, a po lewej stronie na podniesieniu—srebrną trumnę ze zwłokami św. Demetra.

Oprowadzający nas „gadativus“, o długich, prostych włosach, uchyla z namaszczeniem wieko trumny i całuje szerniałe piszczele, wyzierające z pod złotistej, bogato haftowanej kapy. Patrząc na mnie, coś tłumaczy zawzięcie, a słysząc, że nie rozumiem po rosyjsku, milknie, a twarz jego wyraża tępe zdziwienie.



Monaster Cozana

— Ta pani nie rozumie po rosyjsku?—powtarza. A przecie w waszym kraju rządzą jeszcze niedawno Rosjanie... i szkoły były rosyjskie?..

— Nie rozumiem... — powtarzam.

I tam, obok zwłok tego obcego świętego, o którego życiu i czynach nic nie wiem, w starej bukareszteńskiej metropolii, odczuwam poraż pierwszy dumę na myśl, że jednak nie znam tego obcego języka...

STAWROPOLIS

Stawropolis—tak się nazywa znajdujący się w centrum miasta stary grecki kościółek, zazwyczaj zamknięty, a obok niego czworokątny podwórzec, otoczony łukowymi arkadami, pod którymi złożono szeregi starych płyt grobowych.

Gdyby nie kwadrat szarego nieba, uwięziony w czterech ścianach dziedzińca, i brak róż i bluszczów, oplatających kamienną cysterne—zdawałoby się mogło, że się idzie dokoła klasztornej dziedzińcyka w jednym z małych miast Italii: może Padwy, Werony, lub Lukki... Ale tu jest Wschód. Nazwiska na płytach są nazwiskami starych włoskich i mołdawskich rodów: Brancovan'ów, Cantacuzéne'ów i t. p. Mech pokrył wiele sylab i liter, a często rok jest nieczytelny... 1650, 1685... Wiek tylko wiadomy — XVII!

Ale wewnątrz kościółka doznaje się wrażenia, że znacznie starsze stworzyły go wieki, że może powstał jednocześnie ze świątyniami Grecji i Sycylii... Może jednocześnie z kolumnami świątyni w Segeście?

Surowy majestat. Żadnych obrazów, ozdób, polichromji. Przez wąskie okienka sączy się z boku odrobina bladego światła. Nic nie rozpala wyobraźni, nic oczu nie zachwyca. Niema złota i blasków, jak w cerkiewkach Wschodu. Mrok...

W głębi dziedzińcyka ktoś drzwi uchyla i idzie zwolna pod arkadami.

Za temi drzwiami (ciekawość tam wiedzie) jest studio młodego, nieznanego artysty. Dokoła ścian kilka rzeźb w marmurze, kilka projektów architektonicznych z gipsu i terrakoty. Skromne to i proste.

Sztuka epok ubiegłych, zaklęta w kolumny i architrawy greckiego kościółka i w rysunek architektoniczny dziedzińca, ze sztuką dzisiejszą, zaklęta we fragmenty głów i rąk ludzkich i ułamki architektoniczne—podały sobie ręce poprzez wąskie arkady małego podwórza...

HANDLARZ HAFTÓW

Przyszedł z dalekiej wsi besarabskiej, brodaty i czarny, i na Calea Victoriei zachwala głośno swój towar.

Ma przez jedno ramię przewieszonych kilkanaście koszul kobiecych, bogato i wzorzysto haftowa-



Kościół „Trei Jerarchi” w Jassach

nych na białym płótnie, przez drugie ramię taką ilość obrusów, chust i serwet, a w ręku trzyma kilka glinianych, malowanych dzbanków i mis.

Uśmiecha się do przechodniów, każdej chwili gotów rzucić swój towar na chodnik, zatarasować nim drogę przechodniom.

Nikt na niego nie patrzy, nikt na monotony krzyk nie zważa.

A przecież ten człowiek przyniósł do miasta całą niemal wsi rumuńskiej tęsknotę za pięknem, zaklętą w te kolorowe, prześliczne hafty! Niewiasty rumuńskie, siedząc na drewnianych, misternie rzeźbionych ławach w swych domach wiejskich, pełnych malowanych sprzętów, wszywały razem z jedwabiem i bawełną w białe płótno swe tęsknoty i marzenia, a z tych tęsknot i marzeń powstawały te piękne, niezrównane desenie,

Bo chłopci rumuńscy — trzeba o tem pamiętać — kochają się w barwnych haftach, w mieniących się tkaninach, a najprostsze i najzwyklejsze ich sprzęty domowe są zazwyczaj rzeźbione i malowane i noszą cechę artyzmu, czasami dość prymitywną, ale prawie zawsze zdradzającą dużo gustu.

— Frumos al*) — woła handlarz, rozkładając w obu rękach kolorową chustę.

— Asta frumosal — powtarza, rozkładając drugą.

*) Piękna!

Kiedy się już odłożyło jedną i drugą serwetkę, i piękną koszulę, taką, w jakiej włościanka rumuńska pracuje w polu, a którą przerobić łatwo na śliczną, letnią sukienkę—brodacz, kreśląc ołówkiem na skrawku papieru setki lei, zgadza się wziąć połowę ceny.

Poczem, zawijając utargowany towar, szepcze jeszcze kilkakrotnie: „frumosa!“ — może z przyzwyczajenia, a może dlatego, że istotnie sam się pięknymi haftami — tą mozolną pracą żony lub córki—zachwyca.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Józef Śliwiński

Na program ostatniego piątkowego koncertu w Filharmonji złożyły się oba koncerty Chopina, sonata B-moll (z marszem żałobnym) oraz Fantazja na polskie melodie.

Skala i pojemność arcyzmu Śliwińskiego stanęły w zupełności na poziomie tego niebywale imponującego programu. Szczelnie wypełniona sala dała raz jeszcze świadectwo bliskiego kontaktu tego wszechświatowej sławy wirtuoza z polską publicznością. Ufność i przejęcie, z jakim słuchano najprawdziwszego, niczem niekraszonego i niefałszowanego Chopina, dawała się wyczuć tembardziej, że między oficjalną muzyczną krytyką a Śliwińskim, istnieje od dawna pewne nieporozumienie.

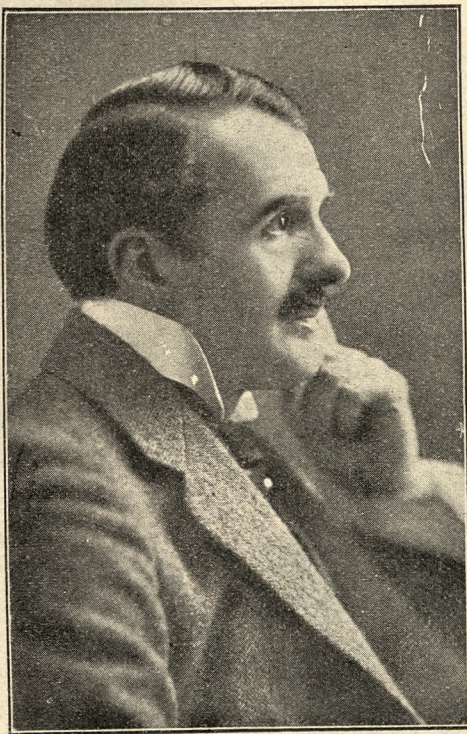
Pomijam już do przesadnych rozmiarów rozrosniętą legendę o „nastrojowości“ Śliwińskiego, od której jakoby całkowicie się uzależnia poziom jego publicznych produkcji. Podobna opinia robi z niego prostu jakiegoś genialnego dyletanta, któremu ten,

czy inny czynnik zewnętrzny może rozwalić mozolnie przez całe życie budowany gmach arcyzmu. Rozumując w ten sposób, idealnemu wykonaniu Śliwińskiego musiałyby towarzyszyć jakieś przyćmione światła, szmer fontann, woń kwiatów i t. p. tandetne rekwizyty.

Dojrzałość artystyczna Śliwińskiego stoi na zbyt mocnych podstawach, aby to, czy inne odchylenie nastroju dawało efekt tak dalece widoczny.

Jest inna sprawa, nierównie ważniejsza i nierównie więcej tego świetnego artystę krzywdząca. Zabardzo go traktujemy, jak „mistrza“. Określenie to jest tylko pozornie wyrazem przemyślanego, świadomego hołdu. Ustawienie Śliwińskiego raz i nazawsze na piedestale mistrzostwa sprawia, że bez najłżejszych wysiłków w kierunku analizy bierzemy z rąk jego nieporównane walory. „Mistrz tonów“, „poeta“, „genjalny odtwórca“, a nadewszystko „romantyk“ (dlaczego tylko romantyk? Cóż za pasja balsamowania krzyżącego intensywnością życia?) — wszystkie te określenia powinny być przemyślane na nowo. Nie powinny nam one przesłaniać niestrudzonego, ani na chwilę nie ustającego na drodze artystycznych wysiłków, pracownika.

Założeniem gry Śliwińskiego jest niewątpliwie — najdalej idąca, wręcz purytańska uczciwość artystyczna. Jest on fanatycznym wielbicielem tekstu. Przy pomocy całkowicie opanowanej umiejętności władania ciężarem—oddaje każdej nucie to, co jej się w tym tekście należy: miarę (czas trwania) i wagę. Nie pomija najmniejszej — wytrzymałą, wybrzmiałą oddaje wprost w duszę słuchacza. Śliwiński, jak nikt może ze współczesnych pianistów, rozumie doniosłość akcentu, tego punktu ciężkości zarówno taktu, jak muzycznej frazy. Wynikająca z tych postulatów rytmiczna niezłomność, narówni z wysoką kulturą i odczuciem stylu utworu, chroni go przed używaniem na tani efekt bijących środków w rodzaju nadprogramowych zwolnień i przyspieszeń. Głębokie odczucie polskości Chopina, subtelność i lekkość uderzenia, skrajna prostota i czystość cantyleny oraz prawdziwy (nie ten „przyspieszony“, ale ten „powściągliwy“) temperament—zostały należycie przez publiczność wyczute i ocenione.



Józef Śliwiński

Ostatni koncert raz jeszcze świadczy, że mamy w tym wypadku do czynienia z konsekwentną, do dna przemyślaną, niezależną i własną metodą—bez której tak świetne oddanie nie tylko Chopinowskiej, ale każdej prawdziwej muzyki byłoby nie do pomyslenia. Śliwińskiemu—pedagogowi—tej jego gruntownie opracowanej metodzie należy się od naszych sfer muzycznych zasłużona i baczna uwaga. Jest to źródło, z którego młode talenty wirtuozowskie mogłyby czerpać wartości nieprzebrane.

W. Borudzka.



TEATR POLSKI

„Zielony frak”, — komedia w 4 aktach G. A. Caillaveta i R. de Flersa. Przekład Jana Lechonia. Dekoracje Karola Frycza. Reżyserja Karola Borowskiego.

„Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas”. Ten przysłowiowy krok, dzielący wzniosłość od śmieszności, staje się odskocznią istotnego komizmu wówczas, gdy pozorna dostojność miota się bezsilnie we własnej próżni.

Na tę odskocznnię wkroczyli autorzy „Zielonego fraka” z zamiarem sparodjowania strupieszalej instytucji, jaką jest bezsprzecznie Akademia francuska. Mieli przed sobą zadanie wdzięczne, kuszące niebezpieczeństwem szarzy, olśniewające bogactwem materiału komedjowego. Mogli je rozwiązać w szeregu finezyjnych piruetów stylowych i sytuacyjnych, w których odwaga sądu rywalizowałaby z kunsztem scenicznym. Mogli zrobić to wszystko, ale nie zrobili. Poszli po linii najmniejszego oporu. Załatwili się z tematem zapomocą kilku salto mortale, ginących w powodzi pospolitych koziołków, któremi na tuziny szafuje każdy linoskok farsowy. Mogli stworzyć komedję w wielkim stylu—dali groteskę, w której pierwszorzędne i świeże walory komedjowe poniewierają się w natłoku zużytych, wyświechtanych „kawałów”, jak na straganie tandeciarza.

Przekład, reżyserja i charakteryzacja artystów wyjaskrawiły jeszcze nadmiernie tę stronę jarmarczną sztuki. Nie znam, niestety, oryginału „Zielonego fraka” i nie mam podstawy do oceny, w jakim stopniu dowcipy Lechonia są ekwiwalentem językowym i artystycznym francuskich kalemburów, ale w ich rozmachu czuło się raczej brzytwę „Cyrulika warszawskiego”, niż giętką szpadę bulwarowego kpiarza.

Ostrze, którem doskonale tnie się papier tygodnika satyrycznego i sieka zieleninę „szopki”—zgrzyta, jak żelazo, po szkłe komedjowego dIALOGU.

Pomysł wprowadzenia na scenę aż dwóch osób, kaleczących język akcentem cudzoziemskim i siłace mi się na komizm dwuznacznikami, sprawiał wrażenie raczej przykre, niż rozweselające. Do galerji półgłówek i kretynów wprowadzono dwoje bełkocących snobów. Wobec fatalnej akustyki teatru i braku psychologicznego rezonansu u widzów — efekt zupełnie chybiony. Publiczność śmiała się hałaśliwie i krótko, jak w cyrku, gdy błazen pokaże jej język.

Wobec wałkującej się po wszystkich związkach literackich i walnych zebraniach sprawy Akademji, „Zielony frak” mógłby mieć znaczenie aktualne, gdyby był sztuką lepiej napisaną. Taki, jakim jest, jest łobuzerską drwiną na temat sypiącego próchnem manekina, który we Francji już się przeżył, a u nas jeszcze nie zdążył się urodzić.

Artyści starali się, jak mogli. Na ich grze znać było sumienną, chwilami zaciekłą pracę. I to właśnie było najgorzej. Hamowali kaskadę humoru, która powinna perlić się i szumieć i w tym szumie zatopić wszystkie mielizny nonsensu, na których osiąść zawsze musi łódź akcji, zeglująca po płytkich wodach.

Junosza Stępowski i Jerzy Leszczyński dali świetne karykatury. Frietsche w roli księcia, a Daczyński



Scena z komedji: „Zielony frak”—Sultima i Leszczyński



Teatr Mały. Scena ze sztuki: „Pociąg-widmo”.—Kuncewiczówna, Grabowska i Wesołowski

jako sekretarz dożywotni Akademji, stworzyli samotne postacie komedjowe. Sulima mocowała się heroicznie z gwarą, narzuconą jej przez rolę. Modzelewska dokładnie skopjowała znane nam dobrze, a ogólnie podobające się minki i gesty.

S. P. O.

Z ODCZYTÓW

W 150 rocznicę urodzin Hoene-Wrońskiego

Wyjaśnienie wszystkich zjawisk bytu, więcej — teoria ich powstania. Teoria ścisła, matematyczna, niezawodna!

Ten olbrzymi problemat, pozornie tak górujący nad słabymi siłami umysłu ludzkiego, wyjaśnił największy geniusz filozoficzny świata, myśliciel polski — Hoene-Wroński.

Dzieła Hoene-Wrońskiego, stanowiące zrab budowy współczesnej myśli filozoficznej, są, niestety, bardzo mało znane w Polsce. Równie mało, jak życie wielkiego myśliciela. Coś tam pamiętamy z powstania Kościuszkowskiego, coś wiemy, że mówiono o Wrońskim na emigracji. Czytać jego dzieła? To zbyt trudne.

Pierwszy wyłom w zapomnieniu i lenistwie zajęcia myśli słowem wielkiego filozofa uczyniło w tych dniach Tow. Miłośników Wiedzy i Przyrody, organizując obchód z racji 150 rocznicy urodzin Hoene-Wrońskiego.

Obchód skromny, a jednak jak podniosły! Sala Stow. Techników zgromadziła grupę wielbicieli, prawdziwych „miłośników” wiedzy i jej genialnego teoretyka, a wśród nich na czele, wielki propagator poważnej myśli polskiej, wielbiciel i znawca Hoene-Wrońskiego — Miriam-Przesmycki. Była też — rzecz dla nas specjalnie miła — pokaźna ilość kobiet!

Obchód zorganizowano w formie odczytu o wielkim systemacie myśliciela: „Prawo stworzenia, jako drogowskaz postępu i sprawdzian twórczości”.

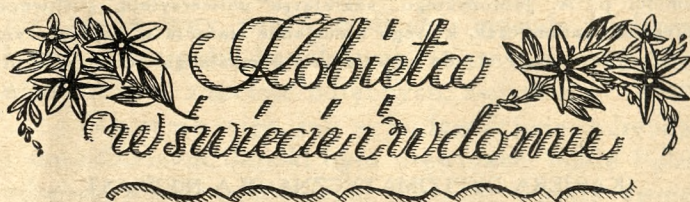
Prelekcję tę wygłosił inż. F. Sobolewski, dając w ramach odczytu szereg przykładów teorii Wrońskiego, demonstrowanych w różnych gałęziach wiedzy: astronomji, fizyce, chemji, matematyce.

Świetne ujęcie systemu Wrońskiego i wyjaśnienie go proste i dobitne, jest wielką zasługą znakomitego prelegenta, który wykazał słuchaczom, że nie tylko specjaliści, lecz każdy inteligentny człowiek może, przy dobrej woli, pójść za Wrońskim na wysoki, lecz jasny szlak jego teorii.

Nadto inż. Sobolewski wykazał rewelacyjną prawdę, że system „prawa stworzenia” znajduje wszechstronne zastosowanie w całej dzisiejszej wynalazczości, rozwiązać może najtrudniejsze jej problemy, staje się drogowskazem kolosalnego rozwoju obecnej, cudownej twórczości technicznej.

Po ożywionej dyskusji Zarząd Tow. Miłośników Wiedzy i Przyrody wezwał obecnych do propagandy wydobywania z zapomnienia wielkiego Polaka i do zainteresowania się jego zaniedbaną mogiłą w Paryżu.

N. J.



ŻEŃSKIE OBOZY LETNIE

Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego przy Minist. Spraw Wojskowych organizuje w roku bieżącym szereg obozów wychowania fizycznego i przysposobienia kobiet do obrony kraju.

Obozy będą zorganizowane (podaje „Polska Zbrojna”) w dwie grupy:

1) Grupa obozów letnich, żeńskich, wychowania fizycznego w Węgrowcu — w czasie od 1-go lipca do 1-go sierpnia r. b.

2) Grupa obozów żeńskich przysposobienia wojskowego w Kościeszynie — w czasie od 3 lipca do 20 sierpnia r. b.

Celem obozów żeńskich w roku bieżącym będzie podniesienie wychowania fizycznego dziewcząt i ruchu sportowego stowarzyszeń przez przygotowanie odpowiednich instruktorek dla poszczególnych gałęzi sportu.

Obozów będzie kilka.

1) Obozy w. f. dla nauczycielek szkół powszechnych i instruktorek klubów sportowych — w celu uzupełnienia wiadomości praktycznych i metodycznych.

2) Obozy p. w. kobiet:

Obóz instruktorski dla członkiń i słuchaczek P. L. W. F.

Warunki przyjęcia: minimum jeden obóz letni i zakwalifikowanie na kurs instruktorski; zobowiązanie do dwóch lat pracy w P.W.K.

3) Obóz dla nauczycielek, akademiczek i biuralistek. Warunki przyjęcia dla nauczycielek oraz akademiczek — odpowiedni stan zdrowia i sprawności fizycznej. Zobowiązanie do pracy w P.W.K. przez rok.

4) Obóz dla młodzieży szkolnej—kandydatek na pomocnice instruktorek. Warunki przyjęcia: minimum rok pracy w hufcu i zobowiązanie do ukończenia kursu fachowego po skończeniu szkoły.

5) Obóz dla młodzieży pozaszkolnej (minimum—wykształcenie szkoły powszechnej) odpowiedni stan zdrowia i zobowiązanie do rocznej pracy w stowarzyszeniu. Wszystkie kandydatki do obozów letnich na rok 1928 muszą przedstawić świadectwo lekarskie (lekarza wojskowego, szkolnego) o należytnym stanie zdrowia, oraz podpisać odnośną deklarację, zobowiązującą ją do wypełnienia wymaganych warunków.

AKADEMICZKI BĘDĄ MIAŁY SWOJĄ KUCHNIĘ

Dnia 4-go maja r. b. odbyło się poświęcenie i uroczyste otwarcie (pierwszy obiad) kuchni Domu Akademiczek, przy ulicy Górnośląskiej 14. Powstanie jej zawdzięczają nasze studentki nieustrudzonej energii i staraniom Pani Prezydentowej Mościckiej, której wyłączną zasługą było zdobycie znacznych sum na ten cel.

Na otwarciu obecny był szereg osób, którym sprawy Domu Akademiczek leżą na sercu, w pierwszym rzędzie Jego Magnificencja ksiądz rektor Szlagowski. Czcigodny kapłan ciepłem przemówieniem powitał licznie zebrane grono gości i studentek. Olbrzymia, czysta sala o szklanym suficie, małe, wygodne stoliki, estetyczne nakrycie oraz niska cena obiadów (1 zł. 20 gr.) przyczynią się niewątpliwie do szerokiego rozpowszechnienia instytucji, tak koniecznej w życiu akademickim. Narazie prowadzenie kuchni oddane jest w ręce wykwalifikowanych kierowniczek; jest jednak nadzieja, że z czasem przejdzie ona do resortu Zarządu Spółdzielni. Miły i pogodny nastrój „pierwszego obiadu” mąciło jedynie łatwo zrozumiałe przygnębienie z racji nagłej śmierci nieodżałowanej pamięci p. A. Jabłońskiego, sekretarza uniwersytetu, gorliwego opiekuna akademik, którego nieustanne starania w największym stopniu przyczyniły się do powstania i pomyślnego rozwoju Spółdzielni.

W. B.

KARJERA DYPLOMATYCZNA DLA NIEWIAST WE FRANCJI

Stoi dziś otworem...

Służba dyplomatyczna i konsularna była dotychczas niedostępną dla kobiet we Francji.

Nie dopuszczane ich również do specjalnych egzaminów, przygotowujących młodzież do zajmowania stanowisk dyplomatycznych.

Obecnie nastąpiły radykalne zmiany w odnośnym prawodawstwie. Dnia 18 marca r. b. został ogłoszony w Paryżu oficjalny dekret upoważniający francuzki do ubiegania się o dopuszczenie ich do kariery dyplomatycznej i konsularnej, ale... wyłącznie tylko na stanowiska w dziale administracji.

Mężczyźni mają więc dziś szerokie pole do popisu, zyskując tak wdzięcznych, ale i zawziętych przeciwników w osobach płci pięknej.

Należy spodziewać się, że niejedynym konfliktem zostanie prędkiej i zgrabnie zażegnany, niż przez dotychczasowe ciężkie debaty wybitnych dyplomatów, kończące się często zupełnym fiaskiem.

Francja będzie więc posiadała w najbliższej przyszłości własne dyplomatki zagranicą.

* * *

Drugą nowinę ze stolicy nadsekwanskiej sygnalizują gazety; że socjaliści francuscy rozpoczęli energiczną walkę wyborczą pod hasłem przyznania wreszcie upośledzonym rodaczkom prawa głosowania. Najbliższe tygodnie przyniosą nam ciekawe wyniki tych walk.

Z KRONIKI SPORTOWEJ

Gazety zagraniczne rozniosły wiadomość o ostatnim zwycięstwie światowej championki boks. Jest nią, oczywiście, amerykańka, młodzianka i urodziwa miss Emma Maintlend.

Współczesne pokolenie dziewcząt bierze udział we wszystkich gałęziach sportów, nawet w takich, które nie odpowiadają, właściwie, kobietom. Do tych ostatnich śmiało zaliczyć można sztukę boksowania się.

A oto właśnie dziewiętnastoletnia miss Emma osiąga na tym terenie niespotykane wśród płci słabej mistrzostwo. Sportsmenka ma za sobą przeszło 40 zapasów bokserskich, pełnych zwycięstw i to niebylejakich: we Francji, w Belgii, Szwajcarii i we Włoszech.

Mocna, wycwiczona, o ruchach błyskawicznych, naciera na partnerkę z taką szybkością i brawurą, że obezwładnia przeciwniczkę w przeciągu kilku minut. Cieszy się opinią niezwalczonej,

* * *

W Anglii jazda konna należy do najstarszego i najbardziej tradycyjnego sportu. Angielki od niepamiętnych czasów uprawiały narówni ze swymi rodakami ten „game”; dziś niektóre z pośród sfer zamożniejszych doszły do takiej wprawy władania tą sztuką, że słyną, jako nieustraszone amazonki.

Dziesiątki klubów sportowych kobiecych urządzają rok-rocznie wyścigi hippiczne z najtrudniejszymi przeszkodami, podczas których ladies popisują się swoim talentem, budząc powszechny zachwyt i zdumienie.

* * *

W Niemczech strzelnictwo ma swoją wiekową, pełną chlubnych tradycji — historję. I na ten teren wdziera się współczesna kobieta.

Ostatnio, podczas turniejów świątecznych, Fräulein Anni Muller zdobywa palmę pierwszeństwa. Zostaje pierwszym w Niemczech — pełnym czaru i wdzięku kobiecego — „królem kurkowym” na rok 1928.

H. S.

RUCH LITERACKI I DZIENNIKARSKI WŚRÓD AMERYKANEK

Liczba kobiet, pracujących zawodowo, jako dziennikarki i literatki — w Stanach Zjednoczonych jest dość poważna.

Jeden tylko „The Woman Press Club”, czyli Syndykat Kobiet-Dziennikarek, liczy już dziś przeszło 2200 członkiń, a wiele z pośród piszących należy do ogólnego syndykatu dziennikarzy.

Do najpopularniejszych pism kobiecych zaliczyć można: „Women's Home” („Dom Kobiety”), „Women's Wear” („Ubranie Kobiety”), „Womens Weekly” („Tygodnik Kobiety”), „Good House Keeping” („Dobra Gospodyni”), oraz „Woman-Citizen” („Kobieta-Obywatelka”) — jedyne pismo polityczne, na którego czele stoi Mrs. Joane Laidlaw, prowadząca rubrykę artykułów wstępnych, politycznych.

Artykuły ekonomiczne pisuje m-me S. de la Follette.

Początkująca dziennikarka w Ameryce zarabia 100 dolarów miesięcznie, rutynowana — 500—600!

W pismach codziennych, periodycznych, kobiety zajmują zazwyczaj stanowiska sił pomocniczych: prowadzą drobne rubryki, poświęcone działalności humanitarno-społecznej, gospodarstwu, wychowaniu dzieci, no i, oczywiście — modzie. Każda z początkujących, rozpoczynając swą karierę dziennikarską w codziennym czasopiśmie, pragnie za wszelką cenę przejść do tygodników.

Z pośród literatek amerykańskich największą popularnością cieszą się, zazwyczaj, nowelistki.

Amerykanie nie mają zupełnie czasu na czytanie powieści i długich artykułów, — chętnie natomiast połykają krótkie opowiadania i nowele podczas przejazdów w kolejkach, w oczekiwaniu na śniadanie czy podwieczorek — w restauracjach.

Z nowelistek najpoczytniejsze są: — Fanny Hurst i Emma Mac Chesnag.

H. S.

OBRAZY Z HISTORJI MODY

G R E C J A

(ciąg dalszy)

Zieleń oliwnego gaju, ultramarynowo-niebieskie niebo, kremowo-biały marmur świątyni, pomalowany czerwono, szafirowo i złoto. Kolory grają w słońcu. Idzie greczynka. Ma na sobie suknię białą z żółtym, wzorzystym szlakiem. Fałdy sukni-chitonu opływają miękko jej ciało, którego kształty i ruch rysują się wyraźnie. Przyjrzyjmy się bliżej: suknia wcale nie jest szyta, przykrawana, sama dla siebie nie ma „fasonu”. Jest to poprostu jakgdyby kawał materiału miękkiego i szerokiego, spiętego na ramionach i przepasanego w pasie, którego pięknem jest jego miękka fałdzistość i — piękno ciała jego właścicielki. Niekiedy ubierze się ona jeszcze w szal-himation, wąski i niedługi, lub też bardzo szeroki, otulający ją całą; najczęściej kolorowy — czerwony, niebieski, żółty, ozdobiony szlakiem.

Młodzieniec grecki ubrany jest bardzo podobnie, w krótki do kolan chiton; mężczyzna poważny nosi chiton z rękawami, otula się himationem szerokim i fałdzistym.

Na czem polega harmonja tego zdumiewająco prostego ubioru? Jeśli chodzi o czysto zewnętrzny charakter, to wyraża się ona w liniach fałd, liniach miękkich, organicznych niejako, w których niema żadnych ostrych załamań i sztywności. Ale jest w tym ubiorze jeszcze inna, głębsza niejako i istotniejsza harmonja. Wyraża się ona w samym stosunku ubioru do ciała. Ubiór nie narzuca ciału swojej formy. (Przypomnijmy sobie w tej chwili np. krynolinę!) Poddaje się miękko kształtom ciała, jakgdyby nie chciał ich gwałcić, jakgdyby uważał je za zbyt cenne, by dopuścić się zniekształcenia ich jakakolwiek, niezależną od nich formą. Piękno ubioru polega na harmonijnem zespoleniu dwóch czynników, które się nań składają: samego ubioru, jako takiego, i ciała, które okrywa. Grek nie maskuje swego ciała i nie przeinacza go.

Harmonja, która istniała między duchową i fizyczną stroną greckiego życia, ujawnia się wyraźnie w tej kompozycji ubioru.

Grek nie wyobraża sobie jakiegokolwiek ideału, którego warunkiem nie byłoby czysto formalne piękno ciała. Niema u niego rozdzwiewu między pojęciem piękna duchowego i piękna fizycznego. Jedno przenika drugie, jedno jest warunkiem drugiego. W tym ideale formalnym, który urzeczywistnia grek na sobie samym, mieści się jeszcze jakgdyby druga teza, wynikająca z nawskroś harmonijnego stosunku do siebie samego. Wszak to, co grek z siebie tworzy, jest ściśle związane i oparte na tem, co dała mu natura. Zdaje się więc mówić: — „Kierunek moich dą-

żeń zgodny jest z warunkami, w których one się urzeczywistniają. Nie chcę zawiele. Chcę tylko tego, co jest możliwe do osiągnięcia w zgodzie z warunkami, które mi są dane”.

To, co ujawnia cała grecka sztuka: — harmonja między siłą artystycznej inwencji, a przejmowaniem tego, co dane jest przez naturę — przemawia również i tutaj.

Czyż można bardziej harmonijnie zakreslić swój ideał? I czy można w tych ramach zbudować coś doskonalszego, aniżeli zbudowali grecy? *Stefanja Zahorska.*

O POLSKOŚĆ NASZYCH WNĘTRZ

IV

MEBLE W POLSCE

Kiedyśmy więc pokrótce przebiegli historję mebla wogóle, przyjrzyjmy się z kolei naszym sprzętom, by dociec, dlaczego zachowały one tak mało odrębności, dlaczego kapitulowaliśmy z twórczości na tem polu, dając się bezapelacyjnie zalać obcej fali.

Polska, ów pomost między Wschodem, a Zachodem, dzięki swemu geograficznemu położeniu, bardziej, niż każdy inny naród, podlegać musiała wpływom kultur i interesów handlowych, ścierających się na jej platformie, a zupełnie odrębnych, światów.

Tak samo więc, jak w budownictwie, odrębnem i samodzielnem, dopóki było drewniane, miała Polska odrębny wyraz w zdobieniu drzewem wnętrza swoich, w zacianianiu sufitów, rzeźbieniu drzwi i belek, cięciu futryn, oraz zdobieniu ścian.

Prostota obyczajów, napady mongolów, niepokojenie przez zachodnich sąsiadów, burdy i walki wewnętrzne, czyli tryb życia raczej przenośny — złożyły się na znikomą ilość sprzętów, z których cenniejsze łatwoby się przenieść dały.

Za łoża służyły ławy, moszczone skórą zwierzęcą, której nie brakło wszakże w owej, lasami obfitującej, Polsce przedkazimierzowej, napadanej, niepokojonej, rozwichrzonej Polsce drewnianej.

Przyodziewę, a i co cenniejsze ze sprzętu mieszczono w skrzyniach; stoły i stołki dopełniały całości umeblowania, smolne łączywa oświetlały nasze wnętrza, zdobione w bogatszych domach kobiercami, czy zasłonami ze Wschodu, najczęściej pochodzącymi z łupu wojennego, w biedniejszych — tkaninami z lnu lub wełny.

Od chwili, kiedy Kazimierz Wielki zaczyna budować Polskę murowaną, sprowadzając na ten cel majstrów z Zachodu, kiedy rozpoczyna zaludniać swe miasta przybyszami z Nadrenji, Holandji i Niemiec — ludzie ci wnoszą wraz z sobą powiew kultury i zbytku w odzieży, sprzęcie i zwyczajach.



Salon projektu J. Czajkowskiego. Małata Z. Stryjeńskiej

Mieszczanie, dorabiając się szybko fortun i potężniejąc w stan, decydujący nie tylko o dobrobycie, ale i o cywilizacji narodu—oczywiście z Zachodu sprowadzają bogate sprzęty, sukna, tkaniny.

Toż Sukiennice krakowskie nie poco innego budował potężny Król, ale by handel temi bogactwami z Zachodu godnie prosperował, by ze Wschodu napływające kobierce, materje wzorzyste, naczynia bogate zdobić mogły polskie zamki, dwory i domy mieszczkańskie.

W epoce Jagiellońskiej, doby Saskiej, za czasów Stanisława Augusta—mamy dosłownie to samo. Ku zachodowi grawitująca Polska oczywiście z Zachodu bierze poprostu gotowe sprzęty, wyroby porcelanowe, tkaniny, sprowadzając je z zagranicy, lub mając u siebie artystów-cudzoziemców, którzy z kolei zaprawiają własnych naszych artystów i rękodzielników na owych cudzoziemskich wzorach.

W dziedzinie mebla zdobywamy się na pewną oryginalność, przerabiając biedermayery i empiry na szczególnie ulubione po dworach polskich czeczotowe i jesionowe garnitury, z którymi łączy nas już dzisiaj szczerzy sentyment, oraz na t. zw. od malarza Simmlera — „simlery” (przetworzony Ludwik-Filip.)

Od XVI do końca XVIII stulecia mieliśmy trochę własnych kobierców, komponowanych naśladowniczo w duchu Zachodu lub Wschodu, mieliśmy własną wytwórczość pasów słuckich oraz porcelany; jednakże wielkie zapotrzebowanie cudzoziemskiej nie sprzyjało widocznie rozwojowi tych wytwórczości na większą skalę, bo dziś ślady zaledwie po muzeach z działów tych spotykamy.

Doba rozbiorów, a więc ucisku duchowego i politycznego, nie mogła być polem dla rozwinięcia się poczucia odrębności narodowej w sztukach plastycznych i dekoracyjnych.

Ten retrospektywny rzut oka dotyczy, oczywiście, t. zw. kulturalnych wnętrz polskich: [zamków, pałaców, dworów i mieszkań miast.

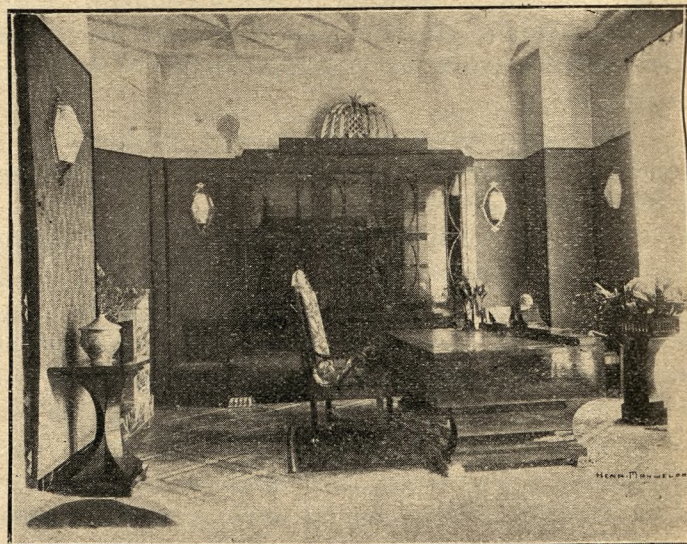
Po wsiach jednakże, we wszystkich naszych dzielnicach: na piaszczystym Mazowszu, w żyznej Wielkopolsce, na całowanych falami morskimi Kaszubach, czy wichrem owianych Tatrach — kwitnęła, jak kwiat i zboże coroczne — niezmienna, z potrzeby się wywodząca, na odwiecznej tradycji oparta, bezpośrednio ducha narodu oddająca — sztuka ludowa.

Tu nie mamy najmniejszej wątpliwości, że rękownik, odrzwia i misa—to ta sama twórczość, która setki lat temu podana została prawnukom przez pradziadów. Że piosnka, od ptaka zasłyszana, na własną radość lub smutek w piosenkę ludową przetłumaczona; że do łąki, ręką przyrody tkanej, wycinanka nasza, i pisanka wielkanocna, i wełniak chłopski upodobniony—to idące wprost z ziemi objawienie sztuki tejże ziemi.

Ta sztuka właśnie—ludowa—przez nikogo nieodstrzeżona, więc niezmienniona i nieprześladowana, jako skarb w ziemi zakopany—stała się podłożem, na którym rodzi się dzisiaj narodowa sztuka polska. A że narodziny te przypadają właśnie na dobę odrodzenia mocarstwa Polski w rodzinie państw europejskich, tem pewniejsze mamy podstawy sądzić, że społeczeństwo zrozumie doniosłość tego zjawiska i naturalnem zainteresowaniem przyczyni się do ustalenia i zrealizowania szlachetnych wysiłków i poczynań w dziedzinie zdobienia naszych wnętrz, w dziedzinie tak ogromnej, że obejmuje całokształt naszego życia codziennego.

Spójrzmy więc raz krytycznie na to nasze otoczenie. Meble: Ludwiki, Empiry, lub straszące twory stolarskie, będące karykaturą jakiegokolwiek stylu, rozparte na szkaradnych, niemieckich dywanach.

Nasze zastawy stołowe—to Berlin; nasze tapety, serwety, figurki, zasłony, firanki, drobiazgi—prawie wszystko obcego pochodzenia, dokupywane przygodnie, nie wiążące się w żaden logiczny i znośny dla oka sens—oto smutna prawda o przeciętnem naszym mieszkaniu, w którym wszakże przebywamy całe życie.



Gabinet projektu J. Czajkowskiego i W. Jastrzębowski

Pomyślmy sobie jednocześnie, że wszystko, co nas otacza, mogłoby być polskiem w duchu swym i wyrobie, i że właśnie żyjemy w momencie odrodzenia polskiej sztuki i polskiego stylu.

Bo zarówno czołowi artyści polscy, jak i szkoły, mające za wychowawców młodzieży tychże właśnie artystów, dążą z niesłychanym wyężeniem do tego, aby sztuka polska, wszedłszy do przemysłu, dała nam i serwetę, i talerz, i obrus, i dywan przez polskiego artystę skomponowany, przez polskiego rękodzielnika wykonany.

Wtedy dopiero zaczną się normalne stosunki, gdy, odrzuciwszy niemające nic z nami wspólnego, obce nam charakterem sprzęty — tych niemych towarzyszy życia — otworzymy drzwi naszych domów dla choćby najprostszyc, ale w polskim duchu skomponowanych mebli, tkanin, które dziś już przy dobrej woli i zrozumieniu sprawy znajdziemy — trzeba tylko przy urządzaniu domów chcieć, aby miały one swą fizjonomję, aby przemówiły językiem, oczywiście nam właściwym, a więc polskim. *Marja Morozowicz-Szczepkowska.*

PORADNIA DLA DZIEWCZĄT

Konieczność uruchomienia placówki, któraby się zajęła poradnictwem przy wyborze zawodu dla młodzieży, odczuwana była oddawna. Wspomnieć tu muszę o akcji, zakrojonej na szerszą skalę, którą zapoczątkowano jeszcze przed Wielką Wojną. Wtedy to Kasa im. Mianowskiego zaczęła wydawać cykl książek, traktujących o poszczególnych zawodach, pod redakcją p. S. Dobrowolskiego. Niestety, wypadki wojenne zahamowały tę akcję, tak iż po ukazaniu się jednej pracy wydawnictwo przerwano. Lecz konieczność zaopiekowania się młodzieżą, szczególnie w czasie wojny, skoniła szereg światłych obywateli stolicy, ze ś. p. Leppertem na czele, do podjęcia nanowo tej akcji. Powstało więc przy ul. Szpitalnej pierwsze w Polsce Biuro Porady Zawodowej, założono kilka szkół zawodowych, zarejestrowano w Biurze około 6000 młodzieży płci obojga, pod kierownictwem inż. Wacława Hauszylda powstała pierwsza w kraju Pracownia Psychotechniczna. W okresie okupacji zabrakło fundusów na prowadzenie owych szkół zawodowych, lecz zarówno Biuro Porady Zawodowej, jak i Pracownia Psychotechniczna przetrwały aż do dnia dzisiejszego; pierwsze — przy ul. Szpitalnej 12, a druga — przy ul. Mokotowskiej 51, udzielając bezinteresownie porad zgłaszającej się młodzieży płci obojga.

Wspomnieć tu pokrótce wypada o celach Biura Porady Zawodowej. Obecnie tysiące młodzieży — czy to kończącej szkoły powszechne, czy opuszczającej nieukończone szkoły średnie, lub nawet z maturami — nie zawsze dokładnie zdaje sobie sprawę z tego, jak dalej w życiu się pokierować. Trzeba, bowiem, wziąć

pod uwagę nietylko osobiste zamiłowania i chęci, lecz również liczyć się należy z kwalifikacjami kandydata czy kandydatki do zawodu, zarówno pod względem uzdolnień, jak i posiadanej wiedzy; oprócz tego musimy brać pod uwagę rynek pracy. Biuro Porady Zawodowej dla prawidłowego wydania porady zbiera informacje: 1) od lekarza — co do stanu fizycznego; 2) od szkoły, do której kandydat uczęszczał; 3) od opieki domowej; 4) od Pracowni Psychotechnicznej. Te wszystkie dane, łącznie z osobistym wywiadem, pozwalają na udzielenie porady; o ile zaś istnieje kontakt z Państwowymi Urzędami Pośrednictwa Pracy, to zjawia się możliwość umieszczenia kandydata. Już obecnie szereg firm korzysta z usług Biura Porady Zawodowej i, jak stwierdzają odpowiednie odezwy, postawienie sprawy jest właściwe ku zadowoleniu i pracodawców i pracobiorców.

Stwierdzić jednak trzeba, że istniejące dotąd Biuro Porady Zawodowej nie jest w dostatecznej mierze wyzyskane, zarówno przez przedsiębiorstwa, w szczególności przy doborze pracowników, jak i przez młodzież żeńską, poszukującą pracy. O ile młodzież męska z Biura Porady Zawodowej korzysta w wielkiej mierze, o tyle ilość zgłoszeń młodzieży żeńskiej jest znikoma.

Niemniej jednak sprawa zajęcia się losem młodzieży żeńskiej jest pilna; to też z inicjatywy p. Zaborowskiej, kierowniczki wydziału żeńskich szkół zawodowych w M. W. R. i O. P. powstała jeszcze jedna Poradnia dla dziewcząt, która mieści się w nowym lokalu Seminarjum dla Nauczycielek Rzemiosł przy ul. Górnośląskiej. Poradnia ta znajduje się pod egidą stowarzyszenia „Służba Obywatelska”. Celem Poradni jest kierowanie dziewcząt, kończących szkoły powszechne, do odpowiednich szkół zawodowych, śledzenie przebiegu ich zawodowego wykształcenia, pośrednictwo w uzyskaniu pracy i dalsza opieka nad pracownicami.

Sądzić należy, że społeczeństwo, doceniając owocność instytucyj tego rodzaju, oraz niezmierną wagę samego zagadnienia pośrednictwa zawodowego, poprze istniejące Biura Porady Zawodowej i wykorzysta je we własnym, zresztą, interesie. Rodzice zaś mogą znaleźć ulgę w swych troskach przez zasięgnięcie miarodajnej opinii Biura Porady Zawodowej w kwestji pokierowania losem swych dzieci. *Piotr Macewicz.*



KATHLEEN

Z cyklu: „Na tle obyczajowości w Anglii“.

A więc jesteśmy już w samym środku pięknego miasta! Teraz — baczność! Musimy wezwać na pomoc sobie całą rozwagę i roztropność umysłu. Ruszajmy na odszukanie jednej z naszych przyjaciółek, bez której pomocy na nic się zda ta cała wyprawa do Londynu.

Namęczymy się cokolwiek, zanim dojrzymy do jej apartamenciku. Czuję nieprzewyciężony wstręt do kolejek podziemnych i do tych szelmowskich schodów ruchomych, ciągnących człowieka z błyskawiczną szybkością w dół, albo do góry, kiedy ma się co sekunda wrażenie, że runie się nosem na podłogę, i zdepcze cię, zmiażdży, pędzący po piętach za tobą tłum. Brr!

Znowuż balansowanie na drugim piętze olbrzym-busa, sunącego żółwim krokiem, nie należy także do wielkich rozkoszy, tembardziej, gdy się ma usposobienie do morskiej choroby. Znowu—brr!!

Wolę już zwyczajnie, per-pedes. Zbyt też polegać na pomocy policeman'a — nie radzę. Nie dlatego, aby pod tą krótką, czarną peleryną i wysokim kaskiem nie znajdowała się istota najbardziej energiczna i świadoma swych dobroczynnych obowiązków, lecz poprostu, że ten manekin, wymachujący, jak nakręcony, rękami — jest tylko człowiekiem, w jednej osobie. Nie rozdziwi się, przecież, ani potroi.

Musi stać na miejscu, jak słup.

Zapytany o drogę, wypali lakonicznie, jednym tchem, nie przestając patrzeć jednocześnie naprawo, nalewo, za siebie: „prosto, prosto! — pytać po drodze!“ I to wszystko. Takiś mądry potem, jak przedtem. Sunmy, więc, śpiesznie naprzód, tylko prawą stroną chodnika, gapmy się dyskretnie, niczemu się nie dziwny i kierujmy swe kroki odrazu do tej, która, wiem, że nie zawiedzie.

Nazywa się Kathleen i jest irlandką, po matce, a więc przemiłą dziewczyną. Ani brzydka, ani ładna, tylko te czarne, błyszczące oczy i szerokie brwi. Zupełnie tak wygląda, jakby ktoś umaczał palec w atramencie i przeprowadził nim po jasnym, dziewczęcym czole. „Katlinka“ — tak ją po polsku nazywam — to człowiek mocny, samodzielny i bezgranicznie miłośniwy. A przytem — co za humor i bystrość orientacji! I czego ta angielska nie wyczynia, mój miły Boże!

Bo i posłuchajcie...

Prowadzi kaździutkie auto, jak własne; ujarzmi kaździutki motor i na „skrzydlatego smoka wsiedzie i bez obawy latać sobie będzie wszędzie!“ Dziw, doprawdy, że jeszcze La-Manche'u nie przepłynęła!

Pasją jej jest ogrodnictwo. Dlatego mieszka zawsze kędyś na krańcu miasta, na djabelskim gruncie, aby, jak powiada, być bliżej ziemi; a zarobkuje przecież w biurze, w city.

Trzęsie też, oczywiście, jakimś klubem kobiecym i wszystkim swym przyjaciółom, na X-mas presents, stworzy własnoręcznie cudowne rękawiczki ze skórki reniferowej, albo kwiatki „męskiej stałości“ z różnokolorowej włóczki, albo... czy ja wiem, co jej jeszcze przyjdzie do głowy!

Że też ta dziewczyna może tak intensywnie żyć à la longue i nie zniszczy się „na szmelc“, a wygląda przytem, jak brzoskwinia!

— O, my darling! my sweetheart! — moje słodkie serce! — zaświergotała, niczem makolągwa, ujrawszy mię najniespodziewaniej we własnym hallu, — przyjechałaś znowu do nas! o jakże się cieszę!

Uczciwy, gorący pocałunek w same usta.

— Przyjechałam na króciutko, na week-end, wiesz, z jak daleka.

— Adorable!... i co za cudowny zbieg okoliczności... Żebyś wiedziała, jak ja się cieszę! Zabieraj się, ani chwili namysłu, zaraz jedziemy...

— Dokąd?

— Tam, gdzie cię najbardziej lubiono, do Thomsonów; dzisiaj to ich sobota! Gladys będzie zachwycona, a Jack...

— Myślisz..., że tak wypada, bez... — pytam skromnie i chytrze. Doskonale przecież wiem, że wypada: sobota w tym kraju jest poto, aby się wyjeżdżało, znajomi, czy przyjaciele — aby się do nich jeździło. Inaczej... ci wszyscy z prowincji popadną natychmiast w najokropniejszą i najmodniejszą chorobę angielską, zwaną krótko: „depress“. Nie jest to — skrzywienie nóg, gdzież tam! raczej „skrzywienie humorów“.

Anglik nie może długo usiedzieć na jednym miejscu, nie może, bodaj przez parę tygodni, pędzić monotonnego, jednostajnego trybu życia na tle tej okropnej pogody.

Zaraz zaczyna być z nim źle — niby nic, zdrów, jak ryba — a źle...

— Myślisz więc... że to wypada? — powtarzam po raz wtóry.

— Nawet nie mów o tem! wiesz, jak są zawsze radzi i ile mają miejsca... Gdyby nawet i George przyjechał. A tu — puchy. Nikogo już nie zastaniesz w mieście. Bo przecież jutro będzie pogoda!

— All right! — uśmiecham się zadowolona. Katlinka ma już wszystko przygotowane. Za pół godziny nie będzie z nas ani śladu. Dochodzi 2 pp.

— O dear, dear! Nie głodnaś? Mniemam, że jesteś już po lunchu. Podrodze wstąpimy do owocarni. Gladys przepada za świeżymi figami, a Jack..., ten łotrzyk pożerałby tylko „passion-fruits“. Co, nie kosztowałaś nigdy hinduskich owoców „Passji“? Oj, ty... ty, dzikusko!.. kupię ci, zaraz.

— Katlinko, pozwól mi dodać dwa słowa... Pojadę z tobą do Thomsonów z rozkoszą, oczywiście... ale widzisz, kochanie, nie jestem tak zupełnie sama... Przyjechały tu wraz ze mną z Polski, moje rodaczki... Takie były ciekawe wszystkiego! Ręczę ci, naj-

milsze to istoty pod słońcem. Czy mogłyby pojechać razem z nami do Camberley, do Jacków, na...

Katlinka przestaje naraz pakować do woreczka podróżnego—biskopoty, binokle, sole trzeźwiące i jeszcze tam coś... Patrzy na mnie swemi czarnymi irlandzkimi oczyma.

— Powiadasz... darling?—uśmiecha się niepewnie.

— Uspokój się... ręczę ci, że nie przysporzą najmniejszego kłopotu, tylko przez ciekawość... a więc prosiłam, aby wzięły czapeczki-niewidki. Są przecież tu, obok nas—alboż je widzisz?

Katlinka mruga przedtutko swemi długimi, koloru jaskółczych skrzydeł, rzęsami...

— Myślę, darling..., że jesteś nieco przemęczona, czy bardzo dużo napisałaś w tym tygodniu tych swoich... O, zapomnij teraz o wszystkim — zapomnij! A co się tyczy twoich przemiłych rodaczek... pozostaw je w świętym spokoju. Bądź radosna! Zapomnij o obowiązkach! Odpoczywaj! Jedziemy...

W niespełna pół godziny, po krótkich ceregielach z biletami i kuferkami—siedziałam już w pudle pośpiesznego pociągu, tuż naprzeciw mej przyjaciółki. W przedziale było pełno, nie tak znowu bardzo, by moje wszystkie kochane rodaczki nie ulokowały się jaknajwygodniej dokoła nas.

Mrugam do nich porozumiewawczo.

Katlinka udaje, że nic nie spostrzega.

Po skosztowaniu „owocu namiętności...“, który pachnie truskawkami, a smakuje, jak najsoczystszy ananas — zapalamy papierosika.

W przedziale cicho. Nikt nic nie mówi. Ani się komu przygląda natarczywie. Słychać tylko leciutki szelest przewracanych kartek.

Na stoliku przy oknie leżą najświeższe, niewiadomo kiedy przez Katlinkę zakupione tygodniki, lecz oczy moje biegną do krajobrazu, który, niby na ruchomej wstążce, przesuwa się prędko za oszkloną szybą.

Przecież na świecie maj! u nas nieco spóźniony, zmaltretowany chłodem,—a tu zielono. Jaskrawo, wesoło zielenią się łąki i pola. Zieloną, grubą patyną (od tej bezustannej wilgoci) pociągnięte są prawie wszystkie pnie drzewne, a wystające korzenie porośnięte są gęsto siwymi mchami.

Zielenią się ciemne, wiecznie grynspanowe krzewy rododendronów przydrożnych. Majaczą w perspektywie, to tu, to tam, zmurszałe, liśćmi bluszczów oplecione stare fermy, to znowu ruiny jakichś zamków. Snują się leniwie, to tu, to tam, stadka białych, kędzierzawych owiec.

Jest cicho. Ani za ciepło, ani zimno.

Leciutka, coraz bardziej liljowa mgielka zaciera ostrzejsze kontury, przyciemnia jaskrawe plamy krajobrazu. Na zachodzie rozszerza się coraz bardziej różowe, czyste pasmo nieba.

Jest zupełnie tak, jak na tych cudownych obrazach znakomitego angiłka Turner'a, który tak bardzo przypomina naszego kochanego Rapackiego.

Popielato, liljowo, melancholijnie i łagodnie.

— A jutro będzie słoneczna pogoda! — mówi ci-chutko uszczęśliwiona Katlinka.

(d. c. n.)

Han. Skar.

TYDZIEŃ W POZNANIU

Przyznaję się, iż miałam dużą tremę, wsiadając do małej, ślicznej, lśniacej, jak żuk brązowej „Imperji“. Wieczór już nadchodził, a tyle mi naopowiadano o złych szosach, o łobuzach, rozsypujących przy wjazdach do wsi i miasteczek szkło i gwoździe, aby następnie mieć zarobek przy klejeniu i napompowywaniu uszkodzonych dętek, o stale powtarzających się panne'ach, stojących wpoprzek drogi auta słodkich kmiotkach—że podróż autem napawała mię przerażeniem. Lecz zmieniać projektów co godzina nie można. Zaopatrzeni w obrazek świętego Krzysztofa, patrona podróżników, ruszamy. Szofer-sportsmen, nie zawodowiec, uważa, że może nam zabraknąć benzyny — jedziemy po benzynę; może mu zabraknąć papierosów — zajeżdżamy po papierosy; jeszcze mu czegoś brak i jeszcze czegoś zabraknąć może. — Ściemniało zupełnie; latarnie zapłonęły długim sznurkiem, kiedy wjeżdżamy na przedmieście Wolę, ciesząc się tak złą opinią. Czy to bruk osławiony jest mniej zły niż o nim fama głosi, czy też nasza Imperja tak nadzwyczajnie niesie, ale nie czujemy żadnych wstrząśnień: wprost płyniemy, wymijając narazie tramwaje i dorożki, potem już tylko wozy i auta; te ostatnie czasem nas mijają, zależnie od humoru i temperamentu kierowców, no i od siły maszyn. Za miastem wpadamy w noc ciemną, aż czarną, której ani księżyc, ani phar'y naszego wozu rozświetlić nie są w stanie.

Błonie, Sochaczew, Kutno. W tem ostatniem — tradycja automobilistów wymaga dłuższego postoju i zjedzenia jakichś bajecznych sznycelków z kluseczkami po węgiersku. Sznycelki rzeczywiście są wyborne, natomiast kilka godzin siedzenia na twardym krzeselku przy wrzaskliwej muzycze—należy do mniejszych rozkoszy.

Kiedy nasz kierowca, pan nietyle może naszego życia (i to też bywa często), ile czasu, decyduje się opuścić gościnne progi restauracyjki — niebo już szarzyć zaczyna. Podobno zły stan szosy w okolicach Kutna datuje jeszcze od czasów rosyjskich; w każdym razie dziesięć lat chyba było dosyć, aby choć trochę doprowadzić ją do porządku; stan jej obecny jest okropny! Dopiero od Strzałkowa, po przejechaniu dawnej granicy pruskiej, znowu jazda staje się przyjemną. Przytem Wielkopolska wita nas pokrytymi różowem i białem, kwieciami drzewami czereśni, szmaragdową zielenią pól i prawdziwie wiosennem ciepłem. Pięknym, jakby majową rosą umyтым raniem — wjeżdżamy do Poznania.

Do wystawy krajowej przygotowuje się Poznań z istic amerykańskim rozmachem. Na placu Targów, wkoło brzydkiej, przysadzistej wieży Górnośląskiej, wyrosło od zeszłej jesieni całe nowe miasto hal wystawowych, a w projektach i planach są całe dzielnice nowych hal, domów, hoteli i t. p. Za miastem przygotowują się place i budynki pod różne specjalne działy, np.: rolniczy, hodowlany i t. p., któreby się w gmachach centralnych zmieścić nie dały. Żyje się tylko myślą o wystawie, mówi tylko o niej, oblicza zyski materialne i moralne, jakie ma przynieść. Czytelniczki „Bluszczu“ zainteresuje zapewne projekt pałacu pracy kobiecej, który ma połączyć wszystko, co kobiety na polu pracy kulturalnej w niepodległej Polsce zdziałały. Niezależnie od tego, Zjednoczone Ziemiarki wszystkich dzielnic chcą urządzić własny, chociażby skromny pawilon, aby dać dokładny obraz tego, czem dla wsi jest obecnie dom polski: jakim niezastąpionem i nie dającym się niczem zastąpić ogniskiem kultury i postępu z jednej—ostoją tradycji narodowej — z drugiej strony.

O targach stosunkowo mniej się mówi: przeszły one w zwyczaj, co nie przeszkadza, iż są na ten raz lepiej obesłane, niż kiedykolwiek, i że nietylko wszystkie stare pawilony, lecz i wszystkie nowe, nawpół wykończone, przepełnione są eksponatami, a frekwencja w dniu świąteczny, naprzykład w dniu 3 maja — przekroczyła 100.000 zwiedzających; ładna cyfra, co?

Tak zwanego święta robotniczego—1 maja—w Poznaniu nie znać zupełnie: tramwaje kursują, sklepy otwarte, nigdzie żadnych plakatów, ani wezwań, żadnych pochodów — a w rezultacie — żadnych bójek, żadnego krwi rozlewu. Podobno owi komuniści, czy inni przekupieńcy, co na listę komunistyczną w Poznaniu głosowali, mieli wiec gdzieś za miastem, na który im nawet pozwolono, byle w granice miasta nie wkraczali.

Zato obchód 3 maja wypadł imponująco. Cudna pogoda i dzień, nieco mniej upalny od innych, przyczyniły się do uświetnienia tego święta miłości i braterstwa narodowego.

Wczesnym rankiem, bo o 6-ej, tłumy zaległy Plac Wolności, gdzie celebrowana była msza polowa. Jednocześnie druga solenna msza była odprawiona w starej katedrze — tumie. Na Placu Wolności rewa wojsk, — szkoda, że dla braku miejsca, ułani byli śpieszeni: bez swoich kochanych koników — towarzyszy wyglądają o wiele mniej malowniczo nawet od skromnej piechoty. Potem pochód pod Zamek, i jaki olbrzymi pochód! Związki zawodowe, cechy rzemieślnicze, towarzystwa sportowe, korporacje studenckie, szkoły i na zakończenie — tysiące całe harcerzy i harcerki! Porządek wzorowy, nastrój poważny, uroczysty i świąteczny zarazem; aż się serce radowało, patrząc na dzielnych wielkopolan! Pozostał im po niewoli niemieckiej „drill“ niemiecki, bardzo pożyteczny dla

naszych, żadnej subordynacji nieznoszących, natur. Pozostały też Poznaniowi ładnie zabudowane nowe dzielnice, jak naprzykład śliczne Jeżyce, gdzie każdy dom jest komfortową willą, otoczoną ślicznym ogródkiem. Grusze i czereśnie, magnolie i pełne japońskie wiśnie—wszystko to w pełnym kwiecie otacza każdy z domów; bez na rozkwitnięciu, kasztany też czekają tylko pierwszego deszczu, aby dodać swój korzenny aromat do wiosennych zapachów, napełniających powietrze i rzeźwiących płuca szczęśliwych mieszkańców tego miasta-ogrodu.

Rozmawiałam z wielu poznaniankami o sprawach gospodarczych. I na tem polu zaprowadzone przez Niemców porządki są o wiele lepsze od odziedziczonych po moskalach porządków Kongresówki. Ceny produktów w Poznaniu są te same, lub nawet nieco wyższe, niż w Warszawie, a mimo to życie kosztuje taniej. Przypisać to należy dobroci artykułów i uczciwemu sposobowi sprzedaży. Nie znają tu, naprzykład, „dokładki“, dającej pole nieuczciwej eksploatacji nabywcy. Mięso jest mięsem, kość — kością; jedno i drugie ma ustaloną cenę i kupuje się oddzielnie, jak zresztą w całej Europie. Jeżeli się kupuje mięso z kością, jak naprzykład na rosół, to dostaje się tylko tę kość, którą natura przy tym kawałku mięsa dała, a nie dowolną ilość gnatów z innej części wołu. Cielęcina jest biała, bo cielęta są pojone mlekiem, a nie siemieniem lnianem. Baranina jest tłusta, a nie sina i chuda, jak w jatkach warszawskich. Wiosną, gdy drobiu mało, wszędzie sprzedają mnóstwo młodych gołębi, Warszawie prawie nieznanach.

Pęczki szparagów są ucięte tak, jak do gotowania: nie przepłaca się za wagę twardych, łykowatych łodyg, uciętych za nisko, aby tylko więcej tego było. Rabarbarum ma grube, mięsiste łodygi i nie wygląda, jak wstrętne zielsko. Cena wędlin jest oznaczona w ćwierciach funta (12½ deka), i nikt nie robi pogardliwej miny, jeśli się właśnie o taką, a nie większą ilość prosi w masarni. Nabiał nieco droższy, niż w Warszawie (masło i śmietana głównie), lecz znacznie lepszy, i niefałszowany. I po ulicach jeżdżą całe wozy wiosennych jarzyn i doniczek z kwiatami, świeżemi, taniemi kwiatkami: bratkami, storczykami, pe-largonjami, o cenach dostępnych dla najskromniejszych kieszeni. I tych wozów nikt nie spędza, nikt nie zabrania kupować i sprzedawać tych jarzyn i kwiatów, bo przecież towar jest dla nabywcy, a nie poto tylko, aby taki kupiec, co ma własny sklep lub stragan na rynku, mógł nim bezkonkurencyjnie paskować.

O samych Targach mało się da powiedzieć. Obesłał je głównie wielki przemysł. Maszyny techniczne i rolnicze, automobile i t. p. Dział spożywczy nieciekawy; w dziale gospodarczym żadnych nowości. Ładnie się prezentują polskie huty szklane i fabryki porcelany. Czesi w tym dziale też dużo wystawiają, lecz wyniosłam wrażenie, że gustem bijemy już Czechów.

Pani Elżbieta.



NÓŻKI W GALARECIE

Potrawa nadzwyczaj prosta, a jednak rzadko bywa smacznie i apetycznie przyrządzana. Na dwie nóżki cielőce brać jedną wieprzową, dosyć długo odkrajaną, aby mięsa było więcej. Nóżki, przerabane wzdłuż, nastawić z wodą, jak na rosół, dodając po zagotowaniu i odszumowaniu marchewkę, pietruszkę, kawałek selera, sporą cebulę, listek, kilka ziarn pieprzu i ziela. Gotować, tak długo, aż mięso samo odpadnie od kości. Wyjąć je, pokrajać w drobne paski, starannie oskrobać kości z przylegających do nich części galaretowatych. Włoszczyznę wyjąć, rosół przecedzić przez gęste sito. Formę, najlepiej glinianą, wyłożyć listkami zielonej pietruszczki, plasterkami jaj, na twardo ugotowanych, cząstkami marchewki i pietruszki, pokrajanej karbowanym nożem. Mięso pokrajane wymieszać dokładnie z rosółem, osolić do smaku; jeśli ma smak nieco mdły, wcisnąć sok z pół cytryny, lub wlać łyżkę octu; można nawet dodać odrobinę otartej na tarce skórki cytrynowej. Przełożyć do formy i zastudzić. Przed podaniem oprowadzić nożem brzegi galarety, przykryć formę półmiskiem i wyrzucić. Cytrynę, krajaną w plasterki, można włożyć do tej galarety tylko w takim razie, jeśli się ją prędko ma użyć: stojąc dłużej, daje gorycz. Do tego podaje się ostry sos musztardowy, tatarski, chrzan z octem, lub też tylko ocet i oliwę.

SZYNKA W GALARECIE

Kiedy gotujemy nóżki cielőce lub wieprzowe do następnego smażenia, pozostaje nam od nich doskonały smak, który można użyć w sposób następujący. Włoszczyznę i korzenie wyjąć, ubić białko surowe z łyżką octu i kilkoma łyżkami smaku od nóżek, zmieszać z resztą zaledwie letniego rosółu, postawić na brzegu blachy, dać wolno się zagotować. Białko, ścinając się wolno, powinno zabrać wszystkie męty. Przecedzić galaretę przez serwetę, zakolorować na kolor złocisty kilkoma kroplami karmelu. Na cztery szklanki takiego smaku ugotować sześć jaj na twardo i po oczyszczeniu z łupin pokrajać na połówki. Wziąć dwadzieścia deka nietłustej gotowanej szynki, pokrajanej jaknajcieniej. Każdą połówkę jajka owinać z ręcznie szynką, aby się uformowały zgrabne wałeczki. Połowę galarety zastudzić w formie, lub salaterce, ułożyć szynkę z jajami, zalać resztą galarety i wynieść na chłód. Po wyłożeniu na półmisek, ubrać sałatką, rzeżuchą, lub inną zieleninką. Do tego podać chrzan z octem, sos tatarski, musztardowy, lub majonezowy. Galarety z nóżek znacznie lepiej i pręcej zastygają od robionych na żelatynie, łatwiej się dają krajać i są bardzo smaczne.

MUSZELKI Z RYBY

Nazajutrz po jakimś przyjęciu, kiedy pozostaną resztki ryby, majonezowego sosu i śledzi, lub sardy-

nek, można z nich zrobić wyborną przystawkę do obiadu. Pół śledzia-ulika, lub dwie sardynki wraz z oliwą utłuc w moździerzu z pięcioma deka śmietankowego masła; gdy się doskonale zmasuje (kto lubi, może dodać odrobinę pieprzu), uformować tyle kulek, ile mamy mieć muszelek. Pozostałą rybę pokrajać w drobną kostkę, lub połupać w kawałki; wszelkie pozostałe jarzynki—czy to z półmisków, czy od gotowania ryby—drobno usiekać. W środek muszelek ułożyć rybę, obsypać wkoło siekanymi jarzynkami, na wierzchu położyć kulkę ostrego masła, zalać sosem majonezowym i podać po zupie, lub na przekąskę do wódki.

KREM CZEKOLADOWY BEZ ŚMIETANKI.

Ze zwykłego proszku budyniowego, który teraz wszędzie sprzedają, można zrobić wyborny krem w sposób następujący. Dwie szklanki mleka zagotować z dwiema łyżkami cukru, wsypać rozpuszczony w pół szklance zimnego mleka proszek, zagotować, dodać dobry kawałek śmietankowego masła. Mieć przedtem ubite do białości żółtko z cukrem i oddzielnie białko na sztywną pianę. Parę łyżek gęstniejącej masy budyniowej zmieszać z żółtkiem i cukrem, dodać do reszty, odstawionej od ognia, i ubijać razem; następnie dodawać po łyżeczce pianę z białka i ubijać gorące dalej, aż dobrze urosnie. Przełożyć do porcelanowej salaterki i wynieść na chłód. Podając, ubrać makafonikami, lub lekkimi biszopcikami.

SZARLOTKA Z RABARBARUM

Kilo najgrubszych łądyg rabarbarowych oczyścić z włókien, pokrajać w drobną kostkę. Z pół kilo mąki, ćwierć kilo tłustego masła, lub świeżego szmalcu, paru łyżek cukru i śmietany lub wody—zagnieść kruche ciasto, cienko rozwałkować. Połowę ułożyć na posypaną mąką blachę, formując wkoło wysoki na palec rancik, aby sok z rabarbarum przy pieczeniu ciasta nie wypłynął. Dopiero, gdy ciasto rozwałkowane, zmieszać owoc z cukrem (około pół kilo, gdyż rabarbarum jest bardzo kwaśne) i trochę utłuczonego cynamonu; nałożyć grubą warstwę na ciasto, przykryć drugą połową ciasta, szczelnie złączyć brzegi. Nakłuć ciasto widelcem, aby para wychodziła, posmarować jajkiem, posypać kryształem. Piec dwadzieścia minut w dobrze gorącym piecu, poczem trzymać jeszcze czterdzieści minut w mniej gorącym, aby się rabarbarum dobrze przepiekło. Jeśli starannie wykonana, szarlotka taka jest smaczniejsza od jabłecznej. Można ją też upiec na gazie w aparacie Prodigé.

Pani Elżbieta.

„ZIMNE NAPOJE“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW,
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysłała Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

DOBRE RADY

Aby spalać mało gazu, mając kuchenkę gazową, trzeba niezupełnie otwierać gazomierz i starannie zamknąć go co wieczór. Mając kilka fajerek różnych rozmiarów, nie zapalać pierwszej lepszej, ale dobrą tę, która najlepiej zgadza się ze średnicą dna naczynia, które ma być użyte. Jeżeli płomień wychodzi choćby trochę poza rondelki — gaz się marnuje. Naczynia, w których gotujemy, powinny być nakryte (wskazówka ta nie dotyczy gotowania mleka). Dużo gazu wychodzi do grzania wody, potrzebnej do mycia, albo do zmywania; oszczędność w tym kierunku zależy głównie od inteligencji tych, którzy gazem rządzą. Nie trzeba wody trzymać stale na ogniu, ale, zagotowawszy ją, najlepiej w aluminiowym naczyniu, nakryć szczelnie i zostawić na zgaszonej fajerce. Długo będzie gorąca, a wrazie potrzeby parę minut wystarczy do odgrzania. W zimie, kiedy palimy w piecach, pod blachą, lub mamy gorące kaloryfery, powinniśmy zawsze mieć przegotowaną gorącą wodę w naczyniu, na nią przeznaczonym, szczelnie zakrytą, postawioną na piecyku żelaznym, lub na kaloryferze, a wystarczy ona na drobne potrzeby, nie narażając nas na koszt nieustającego trwonienia gazu.

* * *

Dobrze jest mieć zawsze pod ręką, w szufladzie od bielizny stołowej, kawałek waty higroskopijnej, aby wrazie rozlania jakiegoś płynu na obrus szybko wysączyć go watą. W ten sposób płyn nie rozcieknie się — szkoda będzie mniejsza, a plama łatwiejsza do usunięcia. Trzeba, póki świeża, podłożyć pod nią kawałek czystego płótna, zapierać namydloną szczoteczką plamę i splókiwać ją, powtarzając tę czynność, dopóki plama nie zniknie; następnie uprasować między dwoma płótnami.

„Jak kupuje dobra gospodyni“

NAUKA PRAKTYCZNEGO I RACJONALNEGO
ROBIENIA ZAKUPÓWCena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KORESPONDENCJE

Pani M. W. — Łódź. Prenumerata ulgowa „Bluszczy“ dla nauczycielek wynosi 3 zł. miesięcznie. O książkę „Uniwersalna kuchnia“ Monatówej niech Sz. Pani zwróci się do księgarni Gebethnera w Łodzi.

Pani Z. O. — Mantowo. Treść i rodzaj książek zależne są od rozwoju i kierunku wychowania młodej osoby. Między dawniej, a dziś tak wielka zachodzi różnica, że najświetniejsza przeszłość literacka nasza — młodym osobom wydaje się przestarzała. Sądzę, że Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Żeromski, Reymont będą użytecznym i odpowiednim czytaniem. Co do pisma, to dotąd nie ma u nas specjalnego dla młodych panienek. Czy Sz. Pani nie uważa „Bluszczy“ za odpowiedni? „Bluszczy“, ze swą tradycją przeszłości — wkrótce obchodzić będzie 65-ciolecie swojej egzystencji — idąc za postępem, pod obecną Redakcją nie zapomina nigdy, że jest pismem dla wszystkich kobiet, ani że był podporą i przyjacielem w najcięższych godzinach całego szeregu dzielnych i zanych Polek. „Iskry“, pismo dla dorastającej młodzieży, będą może interesujące dla młodziutkiej czytelniczki, zależy to jednak, powtarzam, od rozwoju panienki.

Pani B. C. — Szczakowa. Obszerny artykuł o hodowli pieczarek podaliśmy w nr. 49 „Bluszczy“ z roku 1925. Nietylko w piwnicy, ale w każdej komórce można hodować pieczarki, byle była ciepła i ciemna, brak światła, bowiem, i odpowiednia temperatura są ważnymi warunkami w udaniu się hodowli. Niech Sz. Pani spróbuje dostać ten numer, a jeśli jest wyczerpany, to polecamy doskonałe dzieło St. Brzozowskiego „Hodowla warzyw“, gdzie mowa jest również i o pieczarkach.

Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie
otwiera nowy kurs d. 1 września b. r. Nauka trwa 2 lata.
Przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie conajmniej
6 klas gimnazjalnych lub równorzędne.
Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek
i Higienistek — Kraków, Kopernika 23.

LABORATORJUM
HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem“ tłusty i suchy, „Mój krem“ przeciw zmarszczkom. „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem poziomy, Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perleki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomy i lilijowe. Róża higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi.

HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczy“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY“ Rybarska 8, tel. 244-18.